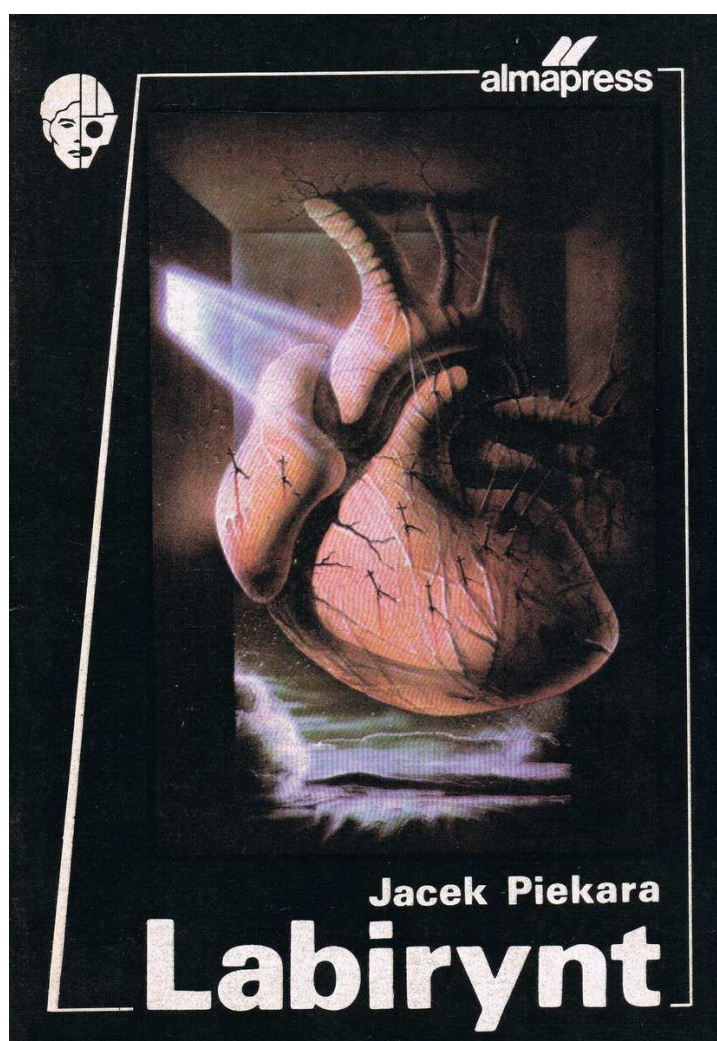


**JACEK PIEKARA**

**LABIRYNT**



STUDENCKA OFICYNA WYDAWNICZA „ALMA-PRESS” WARSZAWA 1986

## ROZDZIAŁ I

# LABIRYNT

### LABIRYNT

Kiedy znalazł się w kabinie penetratora odetchnął z ulgą. Stał przed nim wysoki mężczyzna w szarzielonym mundurze i wyciągnął rękę.

— Zwiadowca Rowland.

— Inspektor Lansdale — uściśnął kościstą dłoń kierowcy i opadł na fotel. — Nie myślałem, że jest tak źle — powiedział.

Rowland usiadł przed ekranami i szarpnął dźwignią rozruchu. Pojazd ruszył z miejsca. Potężne podmuchy wichury uderzyły w pancierz, ale kolos nie zważając na nie sunął przez zwały wulkanicznego piachu. Gąsienice wyrzucały tumany pyłu, tak że inspektor na ekranach widział tylko brunatny, wirujący kłęb. Rowland włączył kamery podczerwienne i szereg ciemnych dotąd ekranów rozjaśnił się.

— Nigdy nie dalibyśmy sobie rady bez podczerwieni — powiedział. — Widoczność ograniczona jest do kilku metrów.

— Daleko jeszcze do bazy?

Kierowca wzruszył ramionami.

— To zależy. Nigdy nic nie wiadomo.

— Jak to? Ile kilometrów jest do bazy?

— Prawie sześćdziesiąt. Ale jak ugrzęźniemy gdzieś albo trafimy na dziurę to... — nie dokończył i machnął ręką.

Inspektor spojrział na ekran.

— Dziura? Droga prosta jak stół.

Rowland roześmiał się.

— Toteż nie chodzi mi o żaden wykrot. Dziura to po prostu dziura. Wszystko wytłumaczę panu na miejscu.

— W porządku.

Milczeli przez chwilę.

— A jak idą prace?

— Jak mają iść? Spróbowałby pan coś zrobić na tej cholernej planecie. Ciągłe jakieś niespodzianki. Klimat podły. Wie pan, że gdyby nie ochraniacze pod pancierzem obaj ogłuchlibyśmy już od huków?

— Jak daleko doszliście?

Kierowca machnął ręką.

— Ja tam nic nie wiem. Jeżdżę z bazy do bazy, bo parenaście kilometrów od nas są geolodzy. Przewożą sprzęt, ludzi, żywność. Co mnie to wszystko obchodzi? Dopóki penetratory są dobre, paliwo jest, to ja nie mam do nikogo pretensji.

— A inni mają?

Pojazd stanął nagle w miejscu.

— Cholera jasna! Mówiłem dziura to dziura. No i masz pan jak na życzenie. Jeszcze trochę, a wpasowalibyśmy się w sam środeczek.

Inspektor zbliżył się do ekranów.

— Gdzie?

— Tutaj to pan nic nie zobaczy. Lepiej tutaj.

Wskazał dłonią na mały, boczny ekran, przez który, jak inspektor wcześniej zauważył, przebiegała cały czas linia prosta. Teraz jednak pośrodku ekranu linia rosła w spiczasty, pulsujący wierzchołek. Kierowca dotknął palcem dużego ekranu.

— To jest mniej więcej tu. Musimy się cofnąć.

— Co to właściwie jest? Co za dziura? Nic tu nie widzę. Droga cały czas równa.

— Co ma z tym wspólnego droga? Ja tam nic nie wiem, ale profesor Gray panu to wytłumaczy. Wiem jedno, że nie wolno mi w to wjechać. Pięć miesięcy temu Bennet wjechał w to świństwo i znaleźli go potem prawie tysiąc kilometrów dalej. Szkoda chłopaka. To był dobry kierowca.

— Zginął?

— Paliwa starcza na trzysta kilometrów. Penetrator stanął i koniec. Wyjść nie można. Inspektor zaczął bębnić palcami po poręczach fotela.

Pojazd ruszył, tym razem do tyłu, potem zrobił ogromny łuk i znów pojechał prosto.

Lansdale zauważył, że przez ekran znów biegnie prosta pozioma linia.

— Nic pan o tym nie słyszał, inspektorze?

— Nie.

— Myślałem, że meldowali coś na Ziemię.

— Wysłano mnie, bo od kilku miesięcy nie ma żadnych meldunków.

Kierowca wzruszył ramionami.

— Dom wariatów. Oni wszyscy są trochę tego — zakręcił palcem przy czole.

— Dlaczego?

— A ja wiem? Ale niech pan nie mówi, że coś takiego ode mnie słyszał. Tak między nami, to chciałbym się stąd jak najprędzej wyrwać.

— Nikt pana przecież siłą nie trzyma.

— Służba. Jeszcze trzy lata. Nie mam nic do gadania. Gdzie posła tam muszę siedzieć. Zresztą co tam. Trudno. A pan na długo przyjechał?

— Nie wiem. Dopóki nie sprawdzę co się tu dzieje.

— Daj Bóg, żeby nas z powrotem wysłali na Ziemię. Dość mam tego siedzenia. Zakazana planeta.

Inspektor ułożył się wygodnie w fotelu. Przymrużył oczy i nie wiedząc kiedy zasnął.

Obudziło go lekkie klepnięcie. Podniósł powieki i zobaczył stojącego nad sobą człowieka.

Uniósł się i uścisnął wyciągniętą dłoń.

Mężczyzna stojący przed nim sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Miał końską, nieogoloną twarz, pozlepiane w strąki, długie żółte włosy. Bluza munduru rozpięta do połowy ukazywała ciemną od brudu szyję. Był albo pijany, albo przepity. Patrzył na inspektora spod sinych, nabrzmiątych powiek. Miał przekrwione oczy, a poza tym oddech przesiąknięty kwaśnym odorem alkoholu.

— Kapitan Garrick — przedstawił się.

— Lansdale — odparł inspektor z ulgą puszczając jego ciepłą, mokrą dłoń.

— Proszę za mną.

Wysiadł z penetratora za chwiejającym się na nogach kapitanem. Znaleźli się w wielkiej hali, w której stały jeszcze cztery penetratory. Podeszli do śluz, które rozwarły się przepuszczając ich do mieszkalnej części bazy.

Wąski, długi, jasno oświetlony korytarz zaprowadził ich pod odsunięte do połowy drzwi. Kapitan wszedł do środka, a inspektor wsunął się za nim.

Przy stoliku siedziało czterech mężczyzn z kartami w rękach. Nie zauważyli nawet ich wejścia.

— Gówno — ryknął nagle siedzący tyłem do drzwi. — Oszukałeś Cadogan. Czego,

kurwa, chowasz łapy za siebie?

— Aubrey! — głośno rzekł kapitan.

Mężczyzna odwrócił się.

— I czego chcesz, ty w dupę... — urwał nagle. — A to kto? — spytał.

— Inspektor Lansdale — rzekł przybysz przesuwając się do przodu i stając tuż przy stole.

Mężczyźni wstali z krzeseł.

— Kapitan Aubrey — przedstawił się stojący najbliżej. — A to porucznicy Cadogan i Winslow i profesor Olney.

Lansdale uściśnął ich dłonie. Zauważył stojącą na stole butelkę i pięć plastikowych kubków. Przy jednym z łózek pod ścianę stał cały rząd pustych już butelek i puszek po piwie.

Garrick pochwycił jego spojrzenie.

— Siadajmy — rzekł szybko podsuwając inspektorowi krzesło.

Usiedli dookoła stołu.

Cadogan bawił się tasując w nieprawdopodobnie szybki sposób karty.

— Polej coś — powiedział Aubrey do Garricka.

Winslow wyjął z szafki kubek. Nalał do niego trochę alkoholu. Przepłukał, wylał resztę w kąt i postawił naczynko przed inspektorem.

Garrick nalał każdemu po pół kubka.

— Pana zdrowie inspektorze — rzekł.

Wszyscy podnieśli kubki.

— No, do dna panowie.

Łyknęli jak na komendę. Lansdale umoczył tylko wargi. Winslow wyjął paczkę Cameli i poczęstował wszystkich. Błysnęła zapalniczka. Zaciągnęli się głęboko. Profesor rozkaszał się i Aubrey klepnął go mocno w plecy.

— Co tam słyhać na starej dobrej Ziemi? — spytał Aubrey — Daje sobie radę bez nas? Co?

— Nie najgorzej — odparł Lansdale, — ale będę musiał poważnie z panami porozmawiać. Zwłaszcza z panem, Aubrey. Jest pan, zdaje się, szefem ochrony wojskowej?

— Tak.

Cadogan przestał tasować karty.

— I z panem również profesorze. Poza tym na dzisiaj wieczór chciałbym mieć panów raporty. O wszystkim co się tu dzieje. Dokładnie.

Aubrey splunął pod stół.

— Na wuja panu raporty. Wszystko w porządku. Pracuje się.

— Chciałbym również zobaczyć jak wygląda ta cała ochrona wojskowa. Wątpię czy wszystko idzie zgodnie z instrukcją.

Kapitan roześmiał się.

— To życie inspektorze, a nie książka. Czasami życia nie można nagiąć do jakiejś zaszranej instrukcji.

— Zamknij się — powiedział Garrick. — To jasne inspektorze. Będzie pan miał raporty. Chciałbym jednak, aby spojrzał pan na sprawę również z naszego punktu widzenia. Siedzimy tu już drugi rok.

Lansdale skinął głową.

— Nie chciałbym czepiać się drobiazgów i nie będę się czepiał, ale są sprawy, które musimy wyjaśnić. Poza tym, muszę wiedzieć jaki jest stan prac nad labiryntem...

— Dobra — przerwał mu Aubrey. — Potem porozmawiamy o tym wszystkim. Olney i ja postaramy się panu to wyjaśnić. Ale to dopiero wieczorem. Polej Garrick.

Kapitan rozlał do kubków resztę wódki z butelki. Inspektor nakrył swój kubek dłonią.

— Jeszcze mam.

Unieśli kubki i wypili. Tym razem Lansdale łyknął całą zawartość. Zaraz zaciągnął się głęboko papierosem.

— Mocna — rzekł.

— Osiemdziesiąt procent. Prawie spiryt — powiedział Winslow.

— Długo pan posiedzi u nas? — spytał Cadogan.

— To zależy jak szybko będę miał materiał do raportu.

— Dla Dowództwa?

— I dla Akademii.

Milczeli przez chwilę.

— Chciałbym trochę odpocząć — powiedział Lansdale. — Jeżeli mógłby mi pan pokazać moją kwatere — zwrócił się do Garricka.

— Jasne. Chodźmy.

Odwrócił się od drzwi.

— Czekam na panów dziś wieczorem.

Przeszli w milczeniu kilkanaście metrów. Stanęli przed drzwiami. Garrick nacisnął klawisz i drzwi wolno rozsunęły się. Wszedł do środka razem z inspektorem.

— Skromnie, bo skromnie, ale da się żyć. Tu obok jest łazienka, ale proszę oszczędzać wodę. Mamy trochę uszkodzone przetwarzacze.

Zerknął na zegarek.

— Jest teraz dziesiąta naszego czasu. Za cztery godziny obiad, kolacja o dwudziestej, ale bar jest czynny cały czas. Jeżeli będzie pan chciał mnie złapać to tu jest tablica komunikacyjna.

Wskazał taflę wbudowaną w ścianę.

— Proszę tylko raczej nie niepokoić Graya. On teraz pracuje, a nie znosi kiedy mu się przeszkadza.

— W porządku.

Drzwi zasunęły się za kapitanem.

Inspektor zdjął buty, zrzucił mundur i został w samych spodenkach. Wszedł do łazienki. Chciał stanąć pod prysznicem, ale z kranu poleciała lodowata woda, więc umył tylko twarz i rękę. Dokładnie wytarł się włochatym, ciepłym ręcznikiem. Podeszedł do łóżka, odrzucił koc i wślizgnął się do pościeli. Położył głowę na poduszce, ale nie mógł zasnąć. Wreszcie wstał i obejrzał tablicę komunikacyjną. Wcisnął żółty klawisz z nazwiskiem Gray. Po parunastu sygnałach usłyszał wściekły głos.

— Czego? Mówiłem, nie przeszkadzać.

— Mówi inspektor Lansdale.

— Co za Lansdale? Mówiłem nie przeszkadzać i koniec.

Przez chwilę panowała cisza.

— Jak pan powiedział? Inspektor? Z Ziemi?

— Tak.

— Gdzie pan jest? W której kabinie?

— Chwileczkę.

Wyszedł na zewnątrz, aby zobaczyć numer na drzwiach.

— Siódemka.

— Dobra. Zaraz wpadnę do pana.

Już po chwili drzwi rozsunęły się i do środka wszedł niski człowieczek. Lansdale krytycznie przyjrzał się gościowi.

Profesor ubrany był w za szerokie spodnie i długą bardzo obszerną bluzę od munduru. W porównaniu z jego sylwetką strój ten sprawiał komiczne wrażenie, ale inspektorowi przyzwyczajonemu do ziemskiej dyscypliny porządku panujące w bazie zaczynały się coraz bardziej niepodobać.

Gray miał szczupłą, pociągłą twarz intelektualisty, w której jednak coś raziło. Dopiero po chwili Lansdale zorientował się, że wrażenie to powodują okulary.

— Gray — wyciągnął rękę w stronę inspektora. — Cieszę się, że pan przyjechał.

Usiadł na łóżku.

— Ten bałagan jest nie do wytrzymania. Niech pan weźmie ich mocno za pysk.

Lansdale usiadł na krześle naprzeciwko profesora.

— Chciałbym, żeby wyjaśnił mi pan parę rzeczy...

— Jeśli tylko będę w stanie.

— Pan miał prowadzić prace nad labiryntem razem z Olneyem. Tak?

— Olney nic z tego nie rozumie.

— Wasze poprzednie raporty były łagodnie mówiąc trochę niezrozumiałe.

— Co tu dużo mówić. My sami z tego mało rozumiemy. Ale to wielkie, wielkie odkrycie. Jeżeli rozgryziemy ten labirynt to ho, ho, możemy zobaczyć ciekawe rzeczy.

— Właśnie. Co tam jest profesorze?

— Wszystko. Sens świata. Wszeczeństwa. Absolut. Rozwiązanie problemów, sensu istnienia, poznanie.

Lansdale wyjął z kieszeni bluzy, leżącej obok, paczkę papierosów. Rozpieczętował i poczęstował profesora. Zapalili.

— Nikt tego nie rozumie. Oni wiedzą, że coś tam jest, ale nie zdają sobie sprawy, że może to być coś tak wielkiego.

Inspektor otworzył stojącą przy łóżku szafkę. Wyjął z niej plastikowy kubeczek i strzepnął do środka popiół.

— Dokąd doszliście?

— Pierwszy krąg. Utknęliśmy w drugim.

— Co? Ostatni meldunek mówił to samo! Od sześciu miesięcy siedzicie w miejscu?

— To ciężka sprawa. Były wypadki.

— Ofiary?

— Tak. Zginęło szesnastu.

Lansdale poderwał się z krzesła.

— Dlaczego nie było meldunków?

— Niech się pan uspokoi. Pretensje może mieć pan do Aubreya, a nie do mnie. To on jest szefem ochrony.

Inspektor z powrotem usiadł.

— A ten kierowca. Bennet czy jak mu tam.

— Słyszał pan już o tym? Wpadł w dziurę.

— Co to właściwie jest?

— Dokładnie nie wiadomo. Myślę, że jakaś wyrwa w przestrzeni połączona kanałem z innym punktem na globie. Przystępnie mówiąc.

— Hm. Ma pan na myśli kanał przestrzenny?

— Tak. Jednokierunkowy. Gdyby działał w dwóch kierunkach powinien przerzucić Benneta z powrotem. On kręcił się parę godzin w kółko. Na pewno trafiłby na dziurę.

— I co jeszcze? Jakies inne niespodzianki?

— Prawdopodobnie takie same dziury, tylko czasowe. Jeden z pojazdów, który zaginął odnaleziono kilkadziesiąt kilometrów stąd. W środku był kościotrup. Bardzo wysoki stopień korozji metalu. Ocenilem wiek znaleziska na czterysta lat.

— Zaraz, zaraz. On musiałby przenieść się w przeszłość o czterysta lat i potem wrócić przypadkowo z powrotem. To brzmi jak bajka.

— Tak. Rzeczywiście. Sam labirynt jest też konstrukcją bardzo interesującą. Całkowicie ekranowane pomieszczenia. Nie można utrzymywać żadnego kontaktu radiowego. Od czasu do czasu ściany wewnętrzne zmieniają położenie, no i co dobę wymieniamy ludzi.

Inaczej mogliby zwariować.

— Dlaczego?

— Mówią, że będąc tam zaczynają widzieć cały swój brud. To powoduje depresję.

— A co z tymi zmianami kształtu?

— Nie wiadomo. Jest prześwit, odwraca się pan na chwilę, a później widać już tylko litą skałę. Korytarze zmieniają poziom, położenie. Nigdy co prawda nie zaobserwowaliśmy przebiegu tego procesu.

— Aha. A czy jest pan pewien, że... — urwał nie mogąc znaleźć słowa.

— Czy nie poszaleliśmy tu wszyscy?

— Powiedzmy, że można to tak określić.

— Nie — uśmiechnął się. — Raczej nie. Dam panu do przejrzania moje notatki.

Wyciągnął spod bluzy plik zapisanych kartek.

— Może to panu coś pomoże. No, a teraz idę. Niech pan to przeczyta dokładnie, a później pogadamy. Muszę wracać do pracy.

Gdy profesor wyszedł Lansdale położył się na łóżku i nakrył pod szyję. Notatki odłożył obok na stolik. Właściwie nie chciało mu się spać, ale łyknął nie popijając dwa silne proszki i zasnął prawie od razu.

Obudził go głośny brzęk. Wcisnął przycisk.

— Lansdale. Słucham?

— Mówi Olney. Czy mógłbym wpaść do pana?

Inspektor zerknął na zegarek.

— Tak. Proszę przyjść i niech pan weźmie ze sobą kapitana Aubreya. Przygotował pan raport?

— Wyjaśnię wszystko na miejscu.

— Dobrze.

Zerwał się z łóżka, nakrył pościel kocem. Zawiesił mundur w szafie i wyjął świeże ubranie z torby. Przekręcił nieco pokrętko, aby światło stało się mocniejsze i usiadł na łóżku. Spojrzał na notatki profesora i po chwili zastanowienia wrzucił do szafki.

Już po chwili weszli Olney i Aubrey. Inspektor zauważył, że Olney ogolił się i przebrał, ale kapitan wyglądał tak samo źle jak przed południem.

— Proszę, siadajcie panowie.

Przysunęli sobie krzesła do stolika. Aubrey wyjął butelkę i postawił na blacie.

— Coś na wzmocnienie.

Inspektor wyciągnął z szafki trzy plastikowe kubeczki. Niechcący potrącił plik kartek i notatki rozsypały się po podłodze. Zebrał je i wrzucił z powrotem.

— Gray był u pana — raczej stwierdził niż spytał Olney.

Lansdale skinął głową.

Kapitan rozlał im wódkę do kubków.

— Do jego twierdzeń należy podchodzić z pewnego dystansu. Są dość kontrowersyjne.

— Co to za sprawa z tym kierowcą? Dziura czasowa?

Olney roześmiał się.

— Po prostu wpływ atmosfery. Penetrator był uszkodzony. Powietrze przedostało się do środka. Atmosfera ma tu rzeczywiście ciekawe właściwości.

— A ten Bennet? Podobno znaleziono go tysiąc kilometrów stąd.

— Nie tysiąc, tylko niecałe sześćset — sprostował Aubrey.

— Zapasy paliwa są na trzysta.

— Wir powietrzny. Miał chłopak pecha — powiedział profesor. — Przeniosło go trochę. Nie zginał od razu przy uderzeniu, bo pojazdy są bardzo wytrzymałe.

— A te urządzenia do odnajdywania dziur?

— Wymyśl Graya. Niech się pan go spyta czy ktoś wjechał w takie miejsce. Podejrze-

wam, że nic specjalnego by się nie stało. To po prostu lokalne zmiany grawitacji. Zupełnie normalne. Ale tak nastraszył kierowców, że nigdy nie odważą się w to wjechać.

— A zmiany kształtu labiryntu?

— Kto o tym opowiadał? Paru ludzi, którzy nawiasem mówiąc byli trochę pod gazem. Niedługo zaczną widywać duchy.

— Puszczacie do labiryntu pijanych?

— Nie będę przecież każdego sprawdzał — warknął Aubrey. — Profesor nie mówi zresztą, że byli pijani, tylko że mogli przedtem trochę wypić. To różnica.

— Możliwe. Gray mówił mi jeszcze o oddziaływaniu labiryntu na psychikę.

— Tu wszystko tak działa, a labirynt jest przecież niesamowitą i groźną budowlą. Może wzbudzać strach. Poza tym wie pan jak to jest. Raz puści się plotkę, a potem wszyscy ją powtarzają. Ludziom zresztą jest to na rękę. Nic przyjemnego siedzieć tam dłużej niż dobę. Kto wie co oni sobie jeszcze wymyślą?

— Ekranowanie?

— To prawda, nie można utrzymać kontaktu radiowego.

— Ofiary?

— Szesnaście osób. Oprócz tych kierowców reszta zginęła w labiryncie. Sprawa czysto techniczna. Ci co go budowali mieli ciekawe pomysły w wymyślaniu pułapek.

— Dlaczego nie było meldunków?

Aubrey wzruszył ramionami.

— Co by to dało?

Podniósł kubek ze stolika.

— Dobra, wypijmy. Za labirynt.

Stuknęli się.

— Papierosa? — spytał Aubrey.

— Jakie pan ma?

— Chesterfieldy.

— Dzięki, wolę Camele.

Zapalił zapalniczkę i przypalił papierosa kapitanowi. Olney cofnął się z krzesłem, żeby być dalej od dymu.

— Ile jest stąd do labiryntu.

— Piętnaście, dwadzieścia minut.

— Chciałbym wybrać się tam rano.

— W porządku — powiedział Aubrey. — Trzeba będzie przygotować tylko skafander i ochraniacze. Nawet przez ściany labiryntu huk jest tak silny, że można stracić słuch.

— Jak została rozwiązana sprawa kontaktu?

Aubrey i Olney spojrzeli po sobie.

— Telepatycznie — rzekł profesor.

— Jak? — parsknął inspektor.

— Sam pan zobaczy. To naprawdę skutkuje. Przedtem próbowaliśmy wszelkich innych sposobów.

— Bóg z wami — Lansdale machnął ręką. — Niech to będą nawet czary, aby tylko działały.

— No to jeszcze raz za labirynt.

— Pana zdrowie — powiedział Olney.

Wypili do dna.

— Co tam właściwie jest? Jak panowie sądzicie?

Milczeli długą chwilę. Lansdale popatrzył na nich ze zdziwieniem.

— Profesor Gray mówił mi co prawda...

— Wynalazki — rzekł cicho Aubrey. — Wspaniałe urządzenia, cudowne maszyny,



broń. Gdy to znajdziemy będziemy potężni, silni. Po cóż by to tak chronili? Niech pan powie po co, gdyby nie było tam ich tajemnic?

— Ich tajemnice mogą być niezrozumiałe dla nas — powiedział inspektor.

— Rozgryziemy to, będziemy pracowali całe lata, ale w końcu zwyciężymy. Człowiek zawsze zwycięży.

Umilkł.

— A pan profesorze?

— To moja sprawa — powiedział opryskliwie.

Lansdale spojrzał na niego zdziwiony.

— Jasne — odparł. — Myślałem, że to nie tajemnica.

— Zresztą mogę panu powiedzieć. Ja jestem chory na raka. Rozumie pan? Został mi jeszcze rok, może pół. A tam jest lekarstwo na wszystko. Na każdą chorobę, a również na lęk, na okrucieństwo, nienawiść, głupotę. Na wszystko co od lat nas dręczy. Ja wiem, że gdy wejdziemy do środka nie będę musiał umierać... Niech pan mi da papierosa.

Inspektor wyciągnął paczkę w jego stronę i zapalił zapalniczkę. Zauważył, że papieros drży profesorowi w rękach.

— Uleczenie świata. Nie tylko fizyczne. To zmaże z nas cały brud moralny, całe dziedzictwo naszego gatunku.

— Pieprzysz — przerwał mu Aubrey. — Pieprzysz — powtórzył.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

— To dziwne — powiedział Lansdale. — Wydawało mi się z początku, że podchodzi pan do tej sprawy obiektywnie i naukowo.

Olney zaśmiał się chrapliwie i zaczął kaszleć.

— I pan się przekona — zaczął mówić przestawszy kaszleć, — że po odwiedzeniu labiryntu nie będzie pan nas już uważał za bandę głupców. Będzie pan miał własną teorię. Tak jak każdy tutaj.

Inspektor pokiwał głową

— Możliwe.

Olney wstał.

— Pójdę już — powiedział. — Jutro zaraz rano zaprowadzimy pana do labiryntu.

Zgasił papierosa na dnie plastikowego kubeczka.

— Jeszcze jedno — rzekł inspektor, gdy byli już przy drzwiach. — Co z raportami? Potrzebuję dokładnych materiałów, z datami, szczegółami i tak dalej. Same konkrety. Co zrobiono, kiedy i dlaczego, kto i z jakich przyczyn zginął, stan prac. Wszystko. Dzień po dniu.

— Oszalał pan — mruknął Aubrey. — Kto by to pamiętał?

Lansdale stanął naprzeciw niego.

— Chciałbym, żeby to było gotowe za dwa dni. Ja tu nie przyjechałem na odpoczynek czy zabawę, kapitanie.

Aubrey odwrócił się i wyszedł. Olney postął jeszcze chwilę przy drzwiach, po czym poszedł za kapitanem.

Inspektor usiadł na krześle i wyjął z szafki notatki Graya. Przez chwilę je kartkował, po czym wrzucił z powrotem do środka. Wyszedł na korytarz i poszedł prosto dochodząc zgodnie z przewidywaniami do sali pełniacej rolę klubu, baru i stołówki. Pod jej ścianami stały automaty do gry, ciche i milczące. Na wprost, oddzielony długą ladą znajdował się automatyczny barman. Inspektor oparł łokcie na ladzie i przeczytał napisy pod przyciskami. Wybór był skromny. Po chwili zastanowienia nacisnął klawisz „Bułka z szynką” i drugi „Sok ananasy”. Po dłuższym oczekiwaniu otworzyła się klapka i wyskoczyła plastikowa tacka z kanapką i kubkiem.

Usiadł na wysokim krześle i wbił zęby w pieczywo. Bułka była lekko czerstwa, a szynka i masło nie sprawiały wrażenia pierwszej świeżości. Inspektorowi wydawało się nawet

jakby masło lekko śmierdziało.

Mimo to, poradził sobie z nią dwoma kęsami. Popił sokiem, który miał obrzydliwy, lekko słony smak. Raz jeszcze nacisnął klawisz „Bułka z szynką” i poszukał wzrokiem przycisku z jakimś napojem. Zobaczył napis „Kawa z mlekiem” i uznał, że coś gorącego dobrze mu zrobi. Bułka, która znów wyskoczyła na tacce była równie niedobra jak poprzednia, ale Lansdale nie zastanawiając się nad jej smakiem zapił jedzenie szybko kawą.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Wyjął jeden z nich zębami, gdy ktoś błysnął obok zapalniczką. Zbliżył papieros do płomienia i zaciągnął się.

— Dziękuję — mruknął.

Obok na krześle usiadł młody, szczupły mężczyzna.

— Zwiadowca Kenneth — przedstawił się.

— Lansdale.

— Znam pana. Jeszcze z Ziemi.

— Tak?

— Byłem na jednym z pana wykładów.

— A tak. Ale to chyba dość dawno.

— Cztery lata temu.

— Tak. To było przed moim wyjazdem na Einsteina. Przypominam sobie teraz pana. Zdaje się, że siedział pan z załogą lecącą na Kopernika.

— Tak, ale miałem wypadek. Rok w szpitalu, a potem skierowanie tutaj. Mógłby mnie pan poczęstować papierosem?

Lansdale wyjął paczkę z kieszeni bluzy, pstryknął w denko tak, aby papierosy lekko wyskoczyły z opakowania i wyciągnął dłoń w stronę Kennetha.

Chwilę milczeli, wreszcie Kenneth przerwał ciszę.

— Zagramy? — wskazał na automaty.

Wstali od lady i podeszli do jednego z urządzeń. Kenneth wcisnął przycisk i ekran rozjarzył się światłami. Usiadł na jednym z foteli, a inspektor po chwili obok niego. Założyli słuchawki na uszy i ujęli rękojeści dźwigni w dłonie.

— Zaczynamy? — spytał Kenneth.

Dźwięk o mało nie ogłuszył inspektora. Zdjął słuchawki i naregulował moc.

— Już w porządku?

— Tak. Możemy zaczynać.

Kenneth wcisnął czerwony taster i z głośników automatu ryknęła muzyka. Pierwsze rakiety poleciały w stronę twierdzy.

Lansdale zablokował automat i zdjął słuchawki z uszu.

— Pan jest nie do pokonania. Robi pan ze mną co chce.

— Dwa lata tu siedzę. Choćby człowiek i nie chciał, to się nauczy. To jest świetna maszyna. Graliśmy na najprostszym wariantcie, ale ona stwarza wręcz nieskończoną ilość możliwości programowania.

Inspektor spojrział na zegarek.

— Cholera, ale ten czas leci.

Usiedli znów na stołkach przy ladzie i zamówili sobie po kawie.

— Jak się panu tu podoba? — spytał Kenneth.

— W ogóle.

— Słyszałem, że jutro jedzie pan do labiryntu.

— Tak.

— Niech pan uważa. I niech pan nie pozwoli, żeby kierował panem Taft.

— Taft?

— To telepata.

— Dlaczego nie?

— Słyszał pan trochę już co się dzieje w labiryncie?  
— Tak — odparł z wahaniem inspektor, — ale...  
— Mam na ten temat swoją teorię.  
— Tak?  
— To wszystko Taft, to jego wina. Jego oddziaływanie na umysły jest fatalne, niszczą-  
ce. Ci ludzie powoli fiksują. Wie pan zrobiłem taki mały rachunek. Do tej pory zginęło czte-  
rnastu. Okazuje się, że było to czternastu najczęściej prowadzonych przez niego... a wie pan  
jak zginęli. Osiem samobójstw!  
— Samobójstw? — pomyślał chwilę. — Swoją drogą, ma pan dość ciekawe zaintereso-  
wania jak na zwiadowcę.  
Kenneth uśmiechnął się. Lansdale z uwagą przyglądał się jego twarzy.  
— Dziwne. Pamiętam pana, ale wydaje mi się, że nie był pan wtedy zwiadowcą...  
— Nie — roześmiał się. — Kapitan Kenneth. Służba Bezpieczeństwa. Otrzymałem  
polecenie skontaktowania się z panem i zapoznania pana z sytuacją.  
— Tak, teraz pamiętam. Pan był wtedy w mundurze Służby. Rzeczywiście.  
— W porządku. Musimy porozmawiać tutaj, ponieważ niestety nie jestem sam w kabi-  
nie. Jak się pan domyśla moja misja jest tajna. Zwiadowca w osobnej kabinie — to budziłoby  
spore podejrzenia.  
— Jasne.  
Roześmieli się.  
— Dziwię się tylko, że nikt nie powiedział mi o pańskiej obecności.  
Kenneth sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną we czworo kartkę papieru.  
Lansdale rozłożył ją i przebiegł wzrokiem po tekście.  
— W porządku — powiedział.  
— Podjęta została już decyzja o zdegradowaniu wszystkich oficerów z bazy. Za miesiąc  
przylatuje nowa zmiana.  
Lansdale stuknął lekko kośćmi dłoni w stół.  
— Jak to?  
Pochylił się mocno w stronę Kennetha.  
— Co pan wygaduje?  
Kapitan klepnął go w ramię i uśmiechnął się ironicznie.  
— Spokojnie inspektorze.  
— Nie myślałem, że mój wyjazd tutaj to taka parodia. Złożę skargę w Dowództwie.  
— Niech pan nie będzie głupi! Czy jest pan takim idiotą, aby myśleć, że Dowództwo  
cokolwiek wie? Decyzja została podjęta przez Bezpieczeństwo.  
— Do czego jestem panu potrzebny?  
— Opinia. Musi pan wydać jednoznacznie złą opinię.  
— Dam taką opinię jaką będę chciał.  
Kenneth roześmiał się i wyjął z bluzy kartki w przezroczystej, plastikowej oprawie.  
— Tu jest pana opinia.  
Lansdale patrzył na niego i nagle na jego ustach pojawił się uśmiech.  
— Wie pan co, kapitanie? — rzekł wyjmując kartki z plastikowej oprawy. — Niech się  
pan odpiardoli.  
Przedarł papier na pół. Rzucił go na blat i poszedł w stronę wyjścia.  
— Wróć!  
Lansdale przystanął i obejrzał się. Kenneth stał trzymając w dłoni pistolet.  
— Wróć — powtórzył spokojnie.  
Inspektor podszedł wolnym krokiem i usiadł na swoim miejscu. Kenneth schował pisto-  
let do kabury pod pachą.  
— To jeszcze nie wszystko. Musi pan jak najsilniej sprzeciwić się kierowaniu pana

przez telepatę. Taft to bardzo sprytny agent. Jeszcze rok i wykończyłyby większość załogi. Zdaje pan sobie sprawę, że takie niepowodzenie zatrzymałoby pracę nad labiryntem na wiele lat.

Lansdale wzruszył ramionami.

— Komu mogłoby na tym zależeć?

— Są tacy ludzie, inspektorze. Nie zdaje pan sobie sprawy co dałoby wykorzystanie militarne labiryntu.

— Nie bardzo to sobie wyobrażam. Ma pan zapalniczkę?

Zapalili papierosy.

— Nie wnikajmy w te sprawy — powiedział Kenneth. — Zresztą sam nie całkowicie rozumiem sensu teorii, ale została ona dokładnie sprawdzona. Panowanie nad labiryntem to panowanie nad światem.

— Słyszałem już parę ciekawych rzeczy. Mogę posłuchać i pana.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Nieważne. Chodzi o to, aby zostało jasno wykazane, że tragedie do których tu doszło to wina ludzi. Tylko i wyłącznie ludzi, których należy zmienić.

— Kto jest w załodze statku, który tu leci?

Kenneth milczał.

— Bezpieczeństwo?

— Tak. Uważamy, że tylko nasi ludzie potrafią robotę wykonać dobrze i dokładnie. To skandal, przez dwa lata dojść do drugiego kręgu. My wysyłamy najbardziej kompetentnych fachowców.

— A co się z nimi stanie? Z tymi tutaj?

— Wróć na Ziemię. Sam pan najlepiej wie co będzie później. Przy dobrych układach może wymigają się degradacją. Pana powinno interesować solidne wykonanie roboty, a to gwarantujemy my. Więc jak?

Lansdale wziął przedarte kartki papieru.

— Zobaczę co się da zrobić — powiedział.

— W porządku. Nie pożałuje pan.

Wstał z krzesła.

— Przykro mi, że nasza rozmowa przebiegała z początku tak nieprzyjemnie — dodał odchodząc. — I niech pan pamięta, żeby uważać na Tafta.

Lansdale zmiął kartki w kulę i schował do kieszeni. Siedział jeszcze chwilę pijąc herbatę, po czym poszedł do swojej kabiny.

Obudziło go mocne szarpnięcie. Nad łóżkiem stali Winslow i Aubrey.

— O, w duszę. Pan inspektorze jak nieboszczyk. Już czas.

Lansdale zwłóknął się na pół przytomny.

— Niech się pan napije. To dobrze panu zrobi.

Inspektor wszedł do łazienki. Wyszedł po kilku minutach kompletnie ubrany, w mundurze zapiętym pod szyję. Winslow położył na stole tackę z trzema kanapkami i kubeczkami herbaty.

— Jak pan chce coś zjeść, to raz dwa.

Lansdale zjadł dwie bułki, nadgryzł trzecią, a niesmak, który został w ustach spłukał herbatą.

— Dobra. Możemy iść.

Przeszli do pomieszczenia, w którym inspektor nałożył na siebie skafander. Najwięcej kłopotu sprawiło mu dopasowanie ochraniaczy na uszy, ale w końcu po kilkunastu minutach stanął przy penetratorze. Aubrey i Winslow czekali już na niego w pełnym oporządzeniu.

— Coś się tam dzisiaj stało — powiedział Winslow. — Coś niedobrego.

— Zginął ktoś?

— Nie wiemy jeszcze. Są straszne zakłócenia.

W środku penetratora siedział już Rowland. Gdy tylko zamknęły się śluzy, pojazd ruszył. Pokrywa w kopule bazy odchyliła się i penetrator wyjechał na powierzchnię. Podmuchy wichury wstrząsnęły metalowym cielskiem. Jazda trwała około pół godziny, po czym śluza rozwarła się i Lansdale instynktownie cofnął się w głąb pojazdu oczekując, że do środka wtargnie wichura. Lecz rura łącząca labirynt z penetratorem była ściśle dopasowana do wejścia. Pochylając się nisko ruszyli w głąb przejścia i stanęli przed zakrywającą wylot rury pokrywą.

Zobaczyli jak śluza penetratora zasuwuje się i w tym samym momencie przeszkoda przed nimi uniosła się w górę. Zrobili krok do przodu i znaleźli się wewnątrz wykutej w kamieniu jaskini. Wokół sklepienia biegł rząd wąskich plastikowych rurek jaśniejących białym światłem. Na ziemi, pod ścianą siedziało trzech ludzi, którzy zerwali się widząc wchodzących.

— Co jest? — spytał podchodząc do nich Aubrey.

— Kelly i Mac Mogarth popełnili samobójstwo.

— Cholera!

— Kelly widział przedtem Simpsona.

— Co? Simpson zginął miesiąc temu!

— Właśnie.

— Kurwa — rzekł cicho Winslow. — Kurwa.

Aubrey potrząsnął mężczyzną.

— Zwariowałeś? Co ty gadasz?

— To prawda — odezwał się drugi — Kelly przybiegł tu i powiedział, że widział w drugim kręgu Simpsona. Simpson był w samym mundurze, bez skafandra i machał do niego ręką, żeby przyszedł, ale on przybiegł tutaj przerażony. Potem znaleźli go martwego. Odłączył sobie tlen.

— Kto go znalazł?

— On — mówiący wskazał na trzeciego z mężczyzn.

— Nazwisko?

— Sierżant Henderson.

— Przepraszam sierżancie. Nie poznałem. Przyjdzie pan do mnie w bazie. Teraz chcę zaprowadzić inspektora do ostatniej stacji. Gdzie jest Taft?

— Zaraz go wezwę.

— Nie — rzekł Lansdale. — Nie potrzebuję żadnego telepaty. Niech ktoś mnie przeprowadzi.

— Zwariował pan! Bez telepaty mogą chodzić tylko ci co znają labirynt jak własną kieszeń. Nawet prowadzony przez sierżanta zginąłby pan na pierwszych metrach.

— Jednak wolę bez tego całego Tafta

— Nie! Odpowiadam za pana bezpieczeństwo. Stanie się coś panu to na Ziemi mnie zgnoją.

Zza załomu wyszedł mężczyzna. Na skafandrze miał wymalowany żółtą, jaskrawą farbą poprzeczny pas.

— To Taft — rzekł Aubrey.

— Witam inspektorze — Lansdale usłyszał w słuchawkach głos telepaty. — Będę pana prowadził do ostatniej stacji.

Inspektor nie odpowiadał.

— W porządku — odpowiedział po chwili namysłu.

Podeszli do wlotu wąskiego, ciemnego korytarza.

— Dlaczego nie ma światła?

Aubrey mruknął coś niezrozumiale.

— Niech pan idzie — powiedział Taft.

— Jak?

— Prosto przed siebie. Kiedy będzie trzeba nawiążę z panem kontakt.

Ruszył na wprost. Wolno, stawiając ostrożnie stopy. Korytarz wolno rozszerzał się.

— STÓJ!

To był wstrząs. Obecność czyjejs myśli we własnym mózgu.

— KROK NA LEWO.

Posłusznie wykonał polecenie.

— KŁĘKNIJ.

Kłęknał.

— OSTROŻNIE POŁÓŻ SIĘ.

Wyciągnął ręce przed siebie i opierając je na podłożu wolno przeniósł na dłonie ciężar ciała.

— CZOŁGAJ SIĘ.

Wykonał kilka ruchów.

— WSTAŃ.

Wstał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że do jego mózgu przenikają nie tylko słowne symbole, ale i wszystko co jest z nimi związane. Przy haśle „CZOŁGAJ SIĘ” wiedział, w którym momencie ma ruszyć lewą ręką, a w którym prawą, kiedy wyprostować nogę, a kiedy ją zgiąć. Oprócz tego coraz silniej wyczuwał niebezpieczeństwo promieniujące z każdego zakamarku labiryntu. Umiał już te miejsca poznać i strzec się ich.

— STAŃ W MIEJSCU.

Stanął.

— ROZMAWIAŁEŚ Z KENNETHEM?

Musiał odpowiedzieć. Myśli wydobywały się niezależnie od jego woli.

— CO BĘDZIE Z RAPORTEM?

Chwila milczenia.

— PRZEDSTAWISZ WŁASNY RAPORT. MUSISZ TO ZROBIĆ. JAK NAJLEPSZA OPINIA I POLECENIE ŻEBY NIE ZMIENIANO ZAŁOGI I NIE PRZYSYŁANO KOMISJI.

Stał w miejscu nie mogąc drgnąć i nie mogąc uwolnić umysłu spod władzy telepaty.

— INACZEJ ZABIJĘ CIĘ.

Całym wysiłkiem woli starał się myśleć o tym, że spełni wszystkie żądania Tafta.

— PAMIĘTAJ. MOGĘ CIĘ ZABIĆ W KAŻDEJ CHWILI. MUSISZ BYĆ POSŁUSZNY. IDŹ DALEJ.

Brnął automatycznie. Sam nie wiedział kiedy znalazł się w rozszerzeniu korytarza. Zobaczył kilku stojących pod ścianami i czekających na niego ludzi. Budził się jak ze snu.

— Jak mogę porozumieć się z tymi ludźmi?

— PRZEZE MNIE.

— To ostatnia stacja?

— NIE. ZARAZ RUSZYSZ DALEJ. ODPOCZNIJ CHWILĘ.

Dopiero teraz poczuł zmęczenie. Ból w każdym mięśniu i przeraźliwą senność. Było mu wszystko jedno. Chciał spać, spać, spać.

— DAVID!

Ocknął się. To nie było to samo uczucie co przedtem. Obca myśl wtargnęła w głąb jego umysłu, ale mógł przysiąc, że nie czuje obecności Tafta.

— DAWID. KOCHANY. TO JA KATHLEEN.

— ZOSTAW GO!

Ból, przejmujący ból rozsadzający czaszkę. Oparł się o ścianę. Dwie myśli drażyły jego umysł. Jedna kazała mu stać w miejscu i czekać, druga iść naprzód przed siebie. Naprzód — tam gdzie czekały śmiercionośne zasadzki.

Ból nagle zniknął, ale ciemna zasłona spadła mu przed oczyma. Krew pulsowała w skroniach, nierówne szybkie uderzenia serca rozbrzmiewały w całym ciele. Ale za chwilę przestał czuć cokolwiek, a oczy znów uzyskały zdolność widzenia.

— Jak się masz, kochanie?

Wysoka, szczupła blondynka. Włosy opadające do ramion. Pełen radości uśmiech na twarzy.

— David! Jak dawno cię nie widziałam.

Objął miękkie, pachnące ciało. Zanurzył twarz w jej włosach.

— Kathy — zabrzmiało to jak jęk.

Przyjrzał się ze zdumieniem swemu nieosłoniętemu skafandrem ciału, ale myśli zgasły, gdy poczuł jej pełne, słodkie wargi na swoich ustach. Próbował ją pocałować, ale odchyliła głowę. Gładziła jego włosy. Zobaczył lzy spływające po jej twarzy, zostawiające brudne ścieżki tuszu.

— Kochana. Dlaczego... dlaczego odeszłaś na tak długo?

Położyła mu głowę na ramieniu i łkała cicho przytulona do jego szyi.

— Jestem z tobą, David. Chcę być z tobą, ale już niedługo musimy się rozstać.

Ścisnął ją mocno w ramionach.

— Nie puszczę cię. Musisz być ze mną. Zawsze.

— Ja umarłam, David.

Milczał długą chwilę.

— Wiesz o tym dobrze. Ja umarłam.

Nie odzywał się ani słowem.

— To już cztery lata.

Cisza.

— Ale myśl o mnie zawsze. Myśl o swojej Kathleen. Ja cię nie opuszczę. Będę zawsze przy tobie. Zawsze Davidzie.

— Nie!

Poczuł, że rozpływa mu się w ramionach.

— Nie!

Ścisnął w dłoniach powietrze zamiast jej ręki.

— Nieeeeeee!

Wył jak obłąkany.

— DAVID. JESTEM Z TOBĄ.

— ZOSTAW GO.

— ZGINIESZ TAFT.

W mózgu inspektora zaświdrował jęk.

— PUŚĆ MNIE!

— ...

— PUŚĆ!

Krzyk w mózgu. Zgrzyt ostrza brzytwy wewnątrz czaszki.

— JUŻ PO WSZYSTKIM KOCHANY. JESTEŚ WOLNY.

— Kathy...

— ZAPROWADZĘ CIĘ Z POWROTEM DO WEJŚCIA.

Wracał jak otumaniony. Powrót wydawał mu się nieskończenie długi. Ciemne ściany labiryntu rozrastały się i zewsząd zagradały drogę. Niebezpieczeństwo. Z każdego miejsca. Namacalne, realne niebezpieczeństwo.

— ON NIE CHCE CIĘ PUŚCIĆ.

Upadł na ziemię, ale kategoryczny rozkaz zerwał go z miejsca. Obok ziała już przepaść. Płomienie liznęły skafander.

— W TYŁ!

Ściana za plecami. Słodki smak krwi z przygryzionych warg.

— BIEGNIJ!

Nogi jak w smole. Upaść. Upaść i zasnąć.

— SKOCZ!

Żar. Mimo ochrony skafandra poczuł jak ciało płonie bólem. Zatoczył się i wypadł z korytarza do oświetlonej sali. Chwycili go we dwóch pod ręce i powlekli w stronę rury.

— Lansdale. Co panu jest? Co się dzieje. Lansdale?

— ŻEGNAJ KOCHANY.

Lansdale! Odezwij się! Żyjesz, człowieku?

Przeraźliwa pustka i ciemność. Odeszła. To była ostatnia myśl, która przemknęła jak błysk przez skołatany mózg.

Ocknął się w łóżku. Przy nim na krześle siedział Aubrey.

— Wreszcie — odetchnął z ulgą. — Spał pan prawie dwa dni. Myślałem, że już się pan nie obudzi.

Lansdale oblizwał spieczone wargi.

— Pić.

Aubrey szybko podał mu ze stolika kubeczek z sokiem. Inspektor wypił jednym tchem.

— Lepiej mi. Co się stało? Co się ze mną działo?

— Nie pamięta pan?

— Nie.

— Doszedł pan do pierwszej stacji. Tam coś się panu stało i nagle pobiegł pan z powrotem w stronę wejścia. To cud, że pan żyje.

— A Taft? On chciał mnie zabić.

— Taft nie żyje.

Lansdale uniósł się na łokciach.

— Niemożliwe.

— Atak serca. Dlatego mówię, że pana powrót to cud. Co panu przyszło do głowy, że chciał pana zabić?

Opadł z powrotem na pościel.

— Nieważne.

Aubrey pochylił się nad inspektorem.

— Co pan widział w labiryncie? Kogo pan tam widział?

Lansdale odwrócił się twarzą do ściany.

— Co to za dziewczyna?

Skulił się.

— Kathleen, tak?

Zerwał się i usiadł na łóżku.

— Skąd wiesz? Kto jeszcze ją widział?

— Mówił pan o niej cały czas.

— Ona umarła cztery lata temu. Teraz spotkałem ją w labiryncie. Wyprowadziła mnie stamtąd, kapitanie. Tak. Wyprowadziła!

Zauważył zaniepokojenie na twarzy oficera.

— Nie zwariowałem. Widziałem ją.

— Jest pan przemęczony. Chciałem wiedzieć czy nie miał pan przywidzeń. Niestety. Stało się. Nie powinienem pozwolić panu na wejście do labiryntu. To istna epidemia.

— Epidemia?

Usiadł na łóżku i opuścił nogi na podłogę.

— Musiałem wycofać wszystkich ludzi z labiryntu. Ustawić straż przy penetratorach.

Inspektor wstał i podszedł do szafy. Wyciągnął mundur i założył go na siebie.



— Lekarz zabronił panu wstawać — rzekł niepewnie Aubrey.  
Lansdale naciągnął koc na pościel.  
— Proszę wezwać Olneya i Graya.  
Kapitan wskazał ręką na tablicę.  
— Niech pan sam ich wezwie.  
Inspektor nacisnął dwa klawisze.  
— Panie Gray, panie Olney. Tu inspektor Lansdale. Proszę natychmiast do mnie.  
Wyłączył urządzenie. W milczeniu czekali aż dwaj mężczyźni wejdą do pokoju. Olney trzymał przy ustach chustkę i chrapliwie pokastywał.  
— Proszę, siadajcie panowie.  
Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstował Aubreya i Graya. Po chwili wahania wyciągnął paczkę w stronę Olneya. Błysnął zapalniczką i przypalił wszystkim papierosy.  
— Może wyjaśni mi panowie teraz, co tutaj się działo?  
— Wątpię czy nam się uda — rzekł Gray. — Moim zdaniem zaczęły działać siły dla nas niezrozumiałe, nadprzyrodzone. Ktoś broni nam dostępu do labiryntu, powoduje śmierć ludzi...  
— Bzdura — przerwał mu Aubrey. — Gównu prawda. Histeria, obłąkanie. Stoimy w obliczu osiągnięć obcej cywilizacji. To działa deprymująco, ale niech pan nie pieprzy o nadprzyrodzonych siłach. Przekłeta mistyka!  
— Zamierzamy wysłać wiadomość z prośbą o przysłanie specjalistów. Psychologów i psychiatrów.  
— Nie zdążycie się ich doczekać.  
Aubrey roześmiał się.  
— Pan myśli o Kennethcie? Tym bubku z Bezpieczeństwa?  
Lansdale zdziwił się.  
— Wie pan o tym?  
— Nie jestem tak głupi ja pan myśli. To że chlam i olewam niektóre rzeczy nie znaczy, że nie widzę jak ktoś robi mi gówno z mózgu.  
— To dobrze. Więc wie pan również zapewne, że leci tu statek z Bezpieczeństwa...  
— Już nie.  
— Co to znaczy?  
— To znaczy, że Dowództwo dowiedziało się o tej intrydze. Statek został zatrzymany i odesłany z powrotem.  
Lansdale uśmiechnął się.  
— Rzeczywiście nie jest pan tak głupi.  
— Co z tego? — Aubrey trzasnął pięścią w stół. — Straciłem już dwudziestu dwóch ludzi. Pan myśli, że pogłaszczą mnie za to po głowie?  
— Czego pan chce ode mnie?  
— Wie pan dobrze czego. Opinii. Znaleźliśmy u pana papiery tego skurwiela. To pan je podał?  
— Tak. Przeszukiwaliście mój pokój?  
— Nie. Leżały na wierzchu.  
Popatrzyli sobie w oczy.  
— Dobra. W porządku. Przeszukaliśmy. Musieliśmy się upewnić czy pana też nie nasłali.  
Milczeli chwilę.  
— Co będę z tego miał? — spytał Lansdale.  
— Ile pan chce?  
— Ile dostanę?

— Dziesięć kawałków.  
— Ależ, panowie — odezwał się Gray. — To chyba...  
— Zamknij się! No więc jak? Będzie dziesięć?  
— Nie.  
— Nie mogę panu dać więcej.  
— Nie chcę pieniędzy.  
— A co u cholery?  
— Penetrator, kierowcę i dobę czasu.  
— Co?  
— Mam powtórzyć?  
— Oszalał pan! To samobójstwo!  
— Idiota — syknął Olney przez chusteczkę.  
— Pan chce wejść do labiryntu Lansdale? — spytał Gray.  
— Powiedziałem swoje. Więc jak?  
— Zgoda. Ale najpierw napisze pan raport i oświadczenie, że poszedł pan na własną odpowiedzialność.

— W porządku.  
Milczeli chwilę.  
— To samobójstwo inspektorze. Nie wróci pan stamtąd — powiedział Gray.  
— Idiota — powtórzył Olney.  
— Skończmy już! Teraz jeszcze dwa pytania. Co z Taftem i Kennethem?  
— To już nie pańska sprawa — powiedział Aubrey.  
— Taft próbował mnie zabić.  
— Taft mnie nie obchodzi. Nie żyje już, a Kennethem sam się zajmę. Kiedy pan chce jechać? — spytał po chwili.

— Mogę zaraz.  
— Dobrze. Proszę napisać teraz te rzeczy i idziemy.  
Aubrey wyciągnął z kieszeni przedarte kartki zapisane przez Kennetha i spalił je w płomieniu zapalniczki.

Inspektor dłuższy czas pisał tekst na dwóch kartach, po czym podpisał się i sporządził szyfrowe hasło identyfikacyjne. Następnie pod tekstem podpisał się Aubrey.

Wyciągnął kartki w stronę Olneya i Graya.

— Poświadczenie to.

Obaj mężczyźni nakreślili swe inicjały.

— Teraz dobrze.

Przeszli korytarzem prowadzącym do pomieszczenia, w którym w plastikowych szafach stały skafandry. Inspektor nałożył na siebie jeden z nich. Tym razem ochroniacze sprawiały znacznie mniej kłopotów. We czwórkę weszli do hali, w której stały penetratory. Kilku mężczyzn czuwało przy ścianach ściskając w dłoniach kolby karabinów.

— Sierżancie Henderson.

Jeden z mężczyzn podszedł do Aubreya.

— Inspektor Lansdale opuszcza bazę. Proszę dać mu kogoś do pomocy i kierowcę. Penetratory przygotowane?

— Tak jest. Kansky! — krzyknął w tył w stronę swoich ludzi. — Pojedziesz z inspektorem.

Do stojących zbliżył się jeden z żołnierzy.

— Tak jest.

— Który z kierowców może jechać?

— Rowland.

— Proszę go wezwać.

Po chwili do hali wszedł Rowland.

— Jestem. Co się stało?

— Pojedziesz z inspektorem.

— Tak jest.

Podeszli do jednego z penetratorów i Rowland ręcznie otworzył śluzę. Pierwszy wszedł do środka, a za nim Kansky. Inspektor stanął na wysuniętych ze środka schodkach.

— Cóż, mam nadzieję, że się niedługo spotkamy.

— Raczej nie — odparł Aubrey.

Wyciągnął rękę w stronę inspektora i klepnęli się pogrubionymi przez rękawice dłońmi.

— Jest pan skończonym idiotą — powiedział kapitan.

Lansdale klepnął go w ramię i wszedł do środka. Pancerna płyta zawarła się za nim. Usiadł z trudem na fotelu, ledwo mieszcząc na siedzeniu powiększone przez powłokę skafandra ciało.

— Gdzie jedziemy inspektorze? — usłyszał w słuchawkach głos kierowcy.

— Do labiryntu.

Chwila milczenia.

— W porządku.

Pojazd szarpnął i ruszył do przodu. Lansdale zauważył na ekranach wychodzące z hali sylwetki, po czym pancerny kopuły odchylił się. Penetrator wypełznął na powierzchnię.

— Czego pan tam szuka inspektorze? — usłyszał głos Kansky'ego.

Lansdale nie odpowiedział.

— Pan tam zginie.

Milczenie.

— To przybytek Szatana, inspektorze. Gdy zbudzimy Bestię ona wyleci i pożre nasz świat.

— Co pan mówi?! — Lansdale obrócił się gwałtownie w stronę zwiadowcy.

Rowland roześmiał się.

— On ma fioła, nie Kansky? Powiedz jeszcze jak wygląda Szatan.

— Teraz śpi, ale gdy go obudzimy wypadnie stamtąd. To wielka czarna bestia ze stoma oczami czerwonymi jak krew...

— A ty masz mózg brązowy jak gówno — zarżał Rowland.

— Niech pan się zamknie — powiedział Lansdale. — A pan, Kansky niech mi powie, dlaczego to ma być potwór, a nie na przykład — zawiesił głos — piękna kobieta?

— Może być i kobieta — zgodził się zwiadowca. — Ale to będzie dla pana. Dla mnie On zawsze pozostanie wielkim pajakiem ze stoma oczami, tysiącem lepkich odnóży i czarnymi skrzydłami. Dla kogoś innego może być kozłem, psem, kamieniem. Czymkolwiek.

— Hm.

— A On prędzej czy później wyfrunie, aby spalić nasz świat. Pożreć nasze dusze. On zniszczy nas. Nawet Bóg jest za słaby, aby go pokonać.

— Więc co należy robić? — inspektor lekko się uśmiechnął.

— Zniszczyć Go póki śpi — w głosie Kansky'ego zabrzmiała taka nienawiść, że Lansdale uniósł się aż lekko na fotelu i spojrzał w stronę mówiącego. — Zniszczyć Jego dom!

Milczeli przez chwilę.

— Mówiłem o tym kapitanowi Garrickowi, mówiłem Aubreyowi... — Kansky machnął ręką.

— I co?

— Powiedzieli, że jest świrnięty — rzucił Rowland. — Co najśmieszniejsze mieli rację.

Milczeli już aż do momentu, gdy penetrator zatrzymał się przy labiryncie. Pokrywa uniosła się i Kansky z inspektorem weszli w głąb rury. Gdy byli przed pancernym odgradzającym drogę do labiryntu śluzę penetratora zawarły się. W chwilę później przeszkoda zagrada-

jąca im drogę odsunęła się i weszli do labiryntu. Wszystkie światła były zgaszone, tliła się jeszcze tylko jedna lampa, błyskająca białym światłem i rzucając setki cieni na chropawę ściany.

— Nie pójde kroku dalej — zastrzegł się Kansky.

Inspektor stanął u wylotu korytarza.

— Niech pan wróci — usłyszał cichy głos zwiadowcy.

Postąpił krok do przodu.

— CZEKAŁAM NA CIEBIE.

— Musiałem tu przyjść. Ostatni raz. Chcę cię zobaczyć.

Zaczął iść naprzód. Z naprzeciwka podpłynęła jasna, świetlista postać w długiej białej sukni. Poczuł dłonie na swych ramionach. Spojrzał i zobaczył, że skafander gdzieś zniknął, a on stoi w samym tylko mundurze.

— Najdroższy. Jak się cieszę, że przyszedłeś.

Delikatnie ujął jej ręce w nadgarstkach i odsunął ją nieco od siebie.

— Kim ty jesteś? — spytał. — Kim naprawdę jesteś?

Uśmiechnęła się.

— Davidzie, skąd ten ton? Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

— Cieszę się — rzekł przez zaciśnięte zęby.

Milczeli przez chwilę.

— Zaprowadź mnie do środka labiryntu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie proś mnie nawet o to.

— Dlaczego?

— Powiedziałam: nie.

— Dlaczego? — krzyknął.

— Nie chcę, żebyś zginął. Labirynt to nie tylko budowla. To duch, to siła, która może...

— Zaprowadź mnie!

— Już wtedy labirynt nie chciał cię wpuścić. Co byłoby teraz?

— Zaprowadź mnie!

— Nie, kochany.

Ścisnął mocno jej ręce.

— Powiedz, powiedz — rzekł urywanym głosem. — Co tam jest, tam w środku?

— Nie wiem.

— Kłamiesz! Musisz wiedzieć!

Przycisnęła ją do ściany.

— Co tam jest?

— Puść!

Odsunęła się od niego i urażona masowała obolałe nadgarstki.

— Jeżeli tam dojdę poznam prawdę. Jednocześnie wiem, że będziesz mogła wyjść ze mną. Życ z mną. Znowu będziemy razem.

Roześmiała się.

— To niemożliwe, Davidzie.

— Pójde tam. Wiem, że mogę cię uwolnić.

— Ależ ja jestem wolna. Będę tutaj dopóki ty nie odejdiesz.

— Powiedz mi — rzekł, a jego głos zabrzmiał jak jęk. — Co tam jest?

Patrzyła na niego jasnymi, szeroko otwartymi oczami.

— Nie wiem, kochany. Nigdy nawet nie próbowałam się dowiedzieć.

— Czy to nie żart — spytał. — Setki ludzi, a może nawet tysiące pragną wydrzeć tajemnicę labiryntowi, zdobyć go. Zabijają się dla niego, nienawidzą z jego powodu, ale nic nie mogą zdziałać. A ty, która możesz zobaczyć to w jednej chwili po prostu nie chcesz!

— Och, David — pokręciła głową uśmiechając się trochę smutno, trochę przekornie. — Oni przecież żyją, ja nie.

Musnęła ustami jego policzek. Przesunęła dłonią po włosach.

— Muszę wracać. Ty też idź z powrotem Davidzie. Wyprowadzę cię stąd.

— Daleko jestem?

— Dalej nie doszedł ktokolwiek inny. Żegnaj.

Przytuliła się mocno do niego.

— Pamiętaj o mnie, zawsze.

Wyciągnął ręce, ale ona odpływała już w głąb korytarza. Chciał pobiec za nią, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— WRACAJ DAVIDZIE.

Nie zwracając uwagi na ponaglenie ruszył równym krokiem naprzód. Szedł kilka minut ze zdumieniem przysłuchując się stukotowi własnych butów na podłożu. Sięgnął dłońmi do głowy jakby chcąc się przekonać czy osłonięta jest hełmem skafandra i dopiero po chwili zorientował się, że słyszy tylko bicie własnego serca.

Nagle korytarz rozszerzył się i zamienił w wielką jaskrawo oświetloną salę. Światło nie miało żadnego konkretnego źródła. Zdawało się jakby promieniował ze ścian i stropu. Sala była pusta. Beznadziejnie pusta. Lansdale przeszedł się wzdłuż ściany, a następnie dwukrotnie przemierzył salę przechodząc przez jej środek.

Roześmiał się głośno. Śmiał się jak oszalały opierając ciało na ścianie. Osunął się do ziemi. Gdy pierwszy paroksyzm minął wstał czując osuszający łyzy ciepły powiew powietrza z wentylatora, ruszył z powrotem. Szybciej niż myślał znalazł się u wylotu korytarza i zobaczył migające światło oraz Kansky'ego siedzącego na ziemi z karabinem w dłoniach.

— ŻEGNAJ. LABIRYNT WYPUŚCIŁ CIĘ. CZY JESTEŚ ZADOWOLONY Z TEGO CO ZOBACZYŁEŚ?

— Tak — odparł. — Spodziewałem się tego. Przestałem wierzyć w niebezpieczeństwo, więc ono zniknęło. Ciebie za bardzo kochałem, aby przestać o tobie myśleć. Dlatego wciąż istniejesz. Żegnaj.

Postąpił krok naprzód wychodząc z korytarza.

— Kansky. Wychodzę już. Niech pan przypadkiem nie strzela.

Zwiadowca poderwał się. Po chwili, gdy zobaczył inspektora podbiegł w jego stronę.

— Myślałem, że pan już nie wróci.

Stuknęli się rękawicami. Szybko wyszli z pomieszczenia, a gdy pokrywa zamykała się za nimi zauważyli jak gaśnie ostatnia lampa. Po chwili byli już w środku pojazdu.

— Cud, inspektorze. To niemożliwe, jak rany. Nic się panu nie stało?

Zdjęli skafandry. Włożyli do szafki i usiedli na fotelach. Rowland wyjął papierosy i poczęstował ich. Zapalili. Inspektor zaciągnął się głęboko.

— Słyszałem, że chciał pan wracać na Ziemię — zwrócił się do kierowcy.

— Jasne. Od razu panu mówiłem.

— Mógłbym panu pomóc.

— O! To byłoby ekstra, inspektorze.

— Może pan wracać razem ze mną. Moja rakieta z pilotem jest na orbicie. Wezwę ją jeszcze dzisiaj.

— Jest tak! — Rowland wzniosł dłoń z podniesionym kciukiem.

— Ale, jedna sprawa...

— No? — zaniepokoił się kierowca.

— Przysługa za przysługę.

— Co mogę dla pana zrobić?

— Poprowadzi pan dzisiaj penetrator. Przedtem wpadniemy jeszcze do magazynu. Nikt nie może o tym wiedzieć.

— Co pan chce zrobić? Tam nie wolno wchodzić. Magazyn jest zawsze pilnowany przez wartowników.

— Niech się pan nie martwi, Rowland. To tylko parę skrzynek.

Kansky przysłuchiwał się z zainteresowaniem rozmowie.

— Wiem co pan chce zrobić — powiedział. — Pan Go widział, prawda? Pomogę panu Go zniszczyć.

Lansdale przyjrzał się uważnie zwiadowcy.

— W porządku, ale myli się pan. Ja tam nic nie widziałem. Byłem w środku labiryntu. Tam jest pusto.

— Nie, nie, nie — Kansky pokręcił głową. — Ja wiem. Pan nie chce powiedzieć. Ale ja wiem. Wszystko wiem. Dlaczego inaczej chciałby pan zniszczyć labirynt, gdyby pan Go nie zobaczył?

— Gdzie będzie lądowała pańska rakieta? — zagadnął Rowland.

— Tam gdzie przedtem. Pamięta pan skąd mnie pan odbierał?

— Jasne.

Do końca drogi milczeli już. Rowland pochłonięty obserwowaniem drogi, a Kansky i Lansdale pogrążeni we własnych myślach. Gdy pojazd dojeżdżał już do bazy założyli w ciszy skafandry. Wreszcie, kiedy penetrator stał już na swoim miejscu w hali, inspektor powiedział:

— Dziś o ósmej czekam w kabinie.

Pierwszą osobą, na którą natknął się u przejścia do pomieszczeń mieszkalnych był Aubrey.

— Rozmyślił się pan? Nie wszedł pan tam?

— Myli się pan, kapitanie. Byłem w labiryncie.

— A jednak — Aubrey pokręcił głową. — Jest pan zdrowo pierdolnięty, inspektorze. Niech się pan nie obraża, ale tego nie można inaczej określić.

Lansdale uśmiechnął się i klepnął go lekko w plecy.

— W porządku. Zgadzam się z panem.

Stojący obok Garrick roześmiał się głośno.

— Wszystko dobrze się kończy. Pan wrócił szczęśliwie. Po nas niedługo przyleci zmiana. Wreszcie odwiedzimy starą, dobrą Ziemię.

— Serio? — spytał Lansdale.

— Naprawdę. Mieliśmy cynk z Dowództwa.

— Więc, rzeczywiście, wszystko dobrze się kończy.

Minał ich.

— Hej inspektorze! — krzyknął za nim Garrick.

Lansdale odwrócił się.

— Niech pan wpadnie wieczorem do nas. Major Aubrey i major Garrick opijają swój awans.

Aubrey huknął pięścią w ścianę.

— Kurwa, dzisiaj będę orbitował pod stołem.

— Gratuluję — powiedział Lansdale i odszedł.

— Niech pan wpada! — ryknął za nim jeszcze Aubrey i znów huknął pięścią w ścianę.

Najpierw do pokoju wsunął się Rowland, a w parę minut później wszedł Kansky.

— Wie pan inspektorze, że Kenneth zginął?

— Co? — Lansdale zerwał się z łóżka.

— Próbował dostać się do penetratora. Zranił Cornacka, ale sierżant Henderson go zastrzelił.

— A więc jednak — rzekł do siebie inspektor.

— Eee — mruknął Rowland. — Podobno nie zabili go tylko jest ranny.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Lansdale dopalił papierosa. Rzucił go na podłogę i zmiądzzył ognik obcasem.

— Chodźmy.

Rowland poprowadził ich do magazynu, który mieścił się w części bazy najbardziej oddalonej od hali. Przed śluzą prowadzącą do magazynu stało dwóch żołnierzy. Inspektor zauważył, że karabiny mają przewieszane na plecach. Ruchem ręki zatrzymał Kansky'ego i Rowlanda. Podszedł do żołnierzy.

— Inspektor Lansdale. Proszę otworzyć magazyn.

Jeden z żołnierzy wzruszył ramionami.

— Nie mieliśmy żadnego rozkazu.

Lansdale trzasnął go pięścią w bok szczęki. Usłyszał chrzęst łamanej kości i w tym samym momencie zablokował cios drugiego żołnierza. Nadbiegający z tyłu Rowland uderzył wartownika złączonymi dłońmi w tył głowy. Żołnierz osunął się na ziemię. Ten ze złamaną szczęką zaczął cicho jęczeć, ale Rowland kopnął go w twarz i ranny umilkł.

Kansky zawiesił się na dźwigni i kłapa prowadząca do magazynu podniosła się. Weszli do środka wciągając nieprzytomnych wartowników. Lansdale rozejrzał się bezradnie po olbrzymiej hali wypełnionej, stojącymi w równych rzędach na półkach, metalowymi, identycznego kształtu skrzyniami.

Kansky pochwycił spojrzenie inspektora.

— Wiem, gdzie to jest.

Poprowadził Rowlanda i Lansdale'a labiryntem korytarzy utworzonym przez rzędy sięgających sufitu półek. Stał przy jednej z nich.

— To tu.

— Ile będzie trzeba?

— Trzy skrzynie. Na pewno wystarczy.

Z trudem podnieśli skrzynki z półek. Lansdale puścił swoją na podłogę.

— Szlag! Będziemy musieli wziąć we dwóch.

Rowland sięgnął po zawieszane u pasa skórzane rękawice i założył je na dłonie. Szarpnął mocno za uchwyty skrzyni, podniósł ją do piersi i sapiąc ruszył naprzód. Kansky i Lansdale wzięli drugą skrzynię we dwóch i ruszyli za Rowlandem. Postawili niesiony przez siebie ciężar przy wejściu. Kierowca nachylił się nad jednym z wartowników.

— Oho. Zaczyna przytomnieć.

Nachylił się nad leżącym ciałem i trzasnął je kośćmi dłoni w skroń.

— Wystarczy. Do rana poleży — mruknął.

Zawlekli ciała wartowników między rzędy skrzyń zabierając im karabiny.

— Idziemy po trzecią? — spytał Kansky.

— Nie — odpowiedział po chwili wahania inspektor. — To musi nam wystarczyć.

Otworzyli wejście i ruszyli. Rowland położył na chwilę swoją skrzynię na ziemi i zsunął kłapę na dół. Bezpiecznie doszli do wejścia hali i położyli przy nim skrzynie.

— Ja tu zostanę, a wy nałóżcie skafandry i przynieście dla mnie.

— Lepiej niech pan idzie ze mną. Tak będzie bezpieczniej. A Kansky zostanie.

Lansdale zastanowił się chwilę.

— Dobrze.

Usunęli skrzynie pod ścianę, aby były jak najmniej widoczne. Ruszyli w stronę pomieszczenia, w którym znajdowały się skafandry.

— Ta baza wygląda jak wymarła — rzekł inspektor.

— Wszyscy się już pochłali.

Nagle z jednej z kabin wyszedł zataczając się Olney. Inspektor dał znak Rowlandowi, by poszedł naprzód, a sam stanął przed profesorem.

— Co pan tu robi przyjacielu? — spytał zionąc odorem alkoholu Olney.

— Spaceruję — odpowiedział Lansdale bezskutecznie próbując wepchnąć profesora z powrotem do pokoju.

Olney zawadził dłonią o karabin przewieszony przez ramię inspektora.

— Czyż — czknał — by pan polował na grubego zwierza? — zaczął się śmiać, po czym rozkaszłał się.

Cały czas kaszłąc łyknął coś z buteleczki, którą wyciągnął z kieszeni. Splunął pod ścianę.

— Pójdę z panem.

— Niech się pan lepiej położy spać.

— Pójdę z panem — upierał się.

Lansdale usiłował wepchnąć go do kabiny, ale zauważył nadchodzącego Rowlanda ubranego już w skafander i niosącego dwa pozostałe. Olney z pijackim zdumieniem przyglądał się kierowcy, po czym przetarł oczy.

— Pełno tu szaleńców, inspektorze — powiedział.

Ruszyli w stronę hali.

— Po co panu skafandry przyjacielu?

Stanęli przy pilnującym skrzyń Kanskym.

— Co pan robi? Co pan chce zrobić?

Wzrok jego padł na napis na wieku: „UWAGA. BARDZO NIEBEZPIECZNE. ZACHOWAĆ OSTROŻNOŚĆ”.

— Zwariował pan!

Przywarł plecami do ściany.

— Pan, pan chce wysadzić labirynt.

Kansky i Lansdale nakładali skafandry.

— Nie zrobisz tego! Nie, nie zrobisz!

W oczach Olneya było zwierzęce przerażenie.

— Pan nie wie, co pan robi. To zbrodnia. To straszne. Niech pan powie, że to nieprawda. Niech pan powie, że pan tego nie robi. Błagam. Niech pan zrozumie, to mnie zabije. Labirynt to moja ostatnia nadzieja. Ja umrę jak pan to robi. Nikt mnie już nie uratuje. Błagam. Ja chcę żyć. Chcę żyć!

Umilkł i stał pod ścianę kiwając się na boki.

Kiedy byli już całkowicie gotowi Lansdale i Rowland ujęli w dłonie karabiny.

— Błagam — wyjęczał Olney.

Zrozumiał, że go już nie słyszą. Rzucił się w stronę inspektora i zagroził mu drogę.

— Odejdź stąd. Nie pozwolę ci. Nie pozwolę!

Lansdale odepchnął go tak, że upadł pod ścianę. Kansky szarpnął dźwignię i kłapa zaczęła unosić się. Profesor wstał już i uczepił się ręki Lansdale'a. Inspektor trzasnął go w twarz.

Wchodzili już do komory, gdy profesor podpełznął i chwycił Rowlanda za nogę. Kierowca wyrwał się i kopnął Olneya w krocze. Profesor zwinął się i zwymiotował pod siebie.

— Nie — wyjęczał. — Nie róbcie tego.

Czekali aż kłapa za nimi zamknie się i Rowland szarpnął dźwignię w środku komory. Druga kłapa, otwierająca przejście do hali zaczęła wolno wędrować w górę.

Kierowca położył się na brzuchu, wysunął przed siebie karabin i dał ognia w szparę między unoszącą się przegrodę a podłogę. Inspektor zanurkował w przerwę i tocząc się pod ścianę wcisnął spust karabinu. Zauważył padające na ziemię sylwetki. Dostrzegł wychylającą się zza jednego z penetratorów postać i strzelił. Trafiony człowiek wyleciał w powietrze, przeleciał przez maskę penetratora i uderzył o ścianę hali.

Rowland stał już za pierwszym z pojazdów i strzelał do kogoś ukrytego w samym końcu hali. Człowiek ten był już ostatnim z obrońców, ale inspektor bał się, że jeżeli zatrzyma



ich nieco dłużej z bazy będą mogły dojść posiłki. Zwłaszcza, że jeden z żołnierzy uruchomił alarm. Nagle Lansdale zauważył, że strażnik wysunął lekko głowę zza osłony. Natychmiast nacisnął spust i hełm przeciwnika eksplodował zostawiając krwawą plamę na ścianie hali.

Kansky podbiegł i otworzył jeden z pojazdów, a inspektor z Rowlandem pobiegli do komory. Klapa za nimi zasunęła się, a w momencie, gdy druga prowadząca do części mieszkalnej zaczęła się unosić przykleknęli z bronią gotową do strzału.

Ale na korytarzu mimo wycia syren alarmowych i dzikiego pulsowania czerwonych świateł nie było nikogo oprócz nieprzytomnego profesora.

Wsunęli skrzynie do komory. Spiesząc się przenieśli je do penetratora. Rowland usiadł w fotelu przed pulpitem i pojazd ruszył.

Milczeli przez całą drogę, wreszcie, gdy śluza otwarła się odsłaniając przejście w głąb rury Rowland raczej stwierdził niż spytał:

— Idziemy, inspektorze?

Lansdale skinął głową zapominając, że kierowca nie może tego widzieć.

— Idziemy? — spytał raz jeszcze.

— Tak.

Przeciagnęli skrzynie pod samą pokrywą, która zaczęła unosić się w chwilę później jak tylko opadła gródź penetratora. Weszli do labiryntu i ogarnęła ich nie zmacona najmniejszym nawet blaskiem ciemność.

— Cholera — zaklął inspektor.

Kansky odpiął przytroczonego do pasa reflektor.

— Wszystko w porządku — powiedział.

Snop żółtego światła rozdarł czerń labiryntu.

Zerwali plomby ze skrzyń, wyjęli kilkanaście okrągłych małych puszek i urządzenie radiowe. Pracowali w milczeniu przez dłuższy czas przytwierdzając ładunki do ścian. Lansdale wziął ostatnie cztery pojemniki i chciał wejść w korytarz, ale Rowland zatrzymał go.

— Nie ma sensu ryzykować — powiedział. — Przecież impuls i tak tam nie dotrze. Zapomniał pan o ekranowaniu?

— Rzeczywiście.

Ostatnie ładunki poupychali tuż przy wylocie korytarza. Kansky omiótł światłem ściany i raz jeszcze przyjrzeni się rozłożeniu ładunków.

— Jaskinię zwali jak nic — powiedział zwiadowca. — A sam labirynt zostanie zmieciony przez podmuch.

— Zobaczymy.

— Tutaj — Rowland machnął ręką — będzie jezioro lawy.

Kansky zgasił reflektor i znów weszli do rury. Gdy pokrywa zamykała się za nimi inspektor drgnął, cofnął się lekko, jakby chciał zawrócić, ale obaj jego towarzysze stali już przed otwartą śluzą penetratora.

— No, inspektorze — powiedział Rowland. — Chodźmy. Im szybciej stąd odejdziemy tym lepiej dla nas.

Weszli do pojazdu i kierowca usiadł przed ekranami. Dwie płytki z czerwonymi tasterami położyli na jednym z foteli.

Penetrator ruszył.

— Wszystko dobre co dobrze się kończy — westchnął Rowland. — Teraz pana głowa w tym inspektorze, żeby na Ziemi nas nie objechali. Niezłego bigosu narobiliśmy tutaj.

Kansky z napięciem obserwował na ekranach oddalającą się budowlę. Kierowca zauważył to.

— Nie bój bido — zaśmiał się. — Ten twój Szatan nic nam nie zrobi. Będzie z niego wrzące bajoro.

Jakiś silniejszy podmuch wiatru uderzył w pojazd, który aż zatrzęsł się.

Inspektor usłyszał w słuchawkach jak Kansky głośno przełknął ślinę.

— Wreszcie na starą, dobrą Ziemię — powiedział wesoło Rowland. — Zapomnę może o tym głównie. O matko, ja już nie pamiętam jak wygląda kobieta. Kiedy wrócę każda dupa będzie moja.

Lansdale uśmiechnął się lekko i nagle zwróciwszy wzrok do tyłu zobaczył, że na ostatnim fotelu siedzi Kathleen w białej, zapiętej pod szyję sukni.

Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, ale wstał i podszedł w jej stronę. Wyciągnął dłoń i wtedy postać rozwiała się. Usiadł ciężko w fotelu, na którym przed chwilą ją widział i wtedy zobaczył, że stoi za plecami Kansky'ego oparta o jego fotel.

— Nie cieszysz się Davidzie? — spytała. — Chciałam pożegnać się z tobą.

— Kansky! Odwróć się!

Zwiadowca momentalnie przekreślił się w fotelu. Przesłona jego hełmu prawie, że dotykała pleców kobiety.

— Co się stało?

— Kansky... pan jej nie widzi?

— Kogo? — usłyszał przerażenie w głosie zwiadowcy.

— Pan jej nie widzi! — ryknął. — Jezu, człowieku!

Zerwał się ze swojego miejsca i porwał dwie leżące płytki. Ściągnął przezroczystą, plastikową osłonę i wcisnął oba tastery naraz. Grzmotu nie usłyszeli, ale wszystkie ekrany, przez chwilę rozbłysły ogniem.

Lansdale obejrzał się i zobaczył, że Kansky gdzieś zniknął. Podszedł do kierowcy.

— Rowland — powiedział opierając mu rękę na ramieniu.

Kierowca zwrócił głowę w jego stronę i inspektor krzyknął. Za przesłoną hełmu ujrzał twarz Kathleen.

## ROZDZIAŁ II

### OBCE ŚWIATY

#### KRAINA CIENI

Ocknął się w jasno oświetlonym pokoju o białych ścianach.

Rozejrzał się po pustym pomieszczeniu. Schylił głowę i wzrok padł na leżące na pościeli jego własne dłonie. Uniósł je przed oczy i przeraził się ich gipsowej bieli. Zaczął ruszać szybko palcami, ale nie zauważył, aby ciało w jakikolwiek sposób zmieniło kolor. Następnie próbował rozetrzeć jedną dłoń drugą, ale nie osiągnął nic poza tym, że drażniona skóra zaczęła go mocno piec.

Spróbował wstać i opuścił nogi z łóżka na białą posadzkę. Stał bez trudu, rozpiął guziki koszuli i rzucił ją na łóżko. Całe jego ciało było tak samo białe jak dłonie. W czasie, gdy z przerażeniem i zdenerwowaniem szukał wszelkich sposobów, aby skóra choć trochę zmieniła kolor ktoś otworzył drzwi. Lansdale spojrzął w tamtym kierunku i zobaczył stojącą w progu Kathleen.

— Dzień dobry Davidzie.

Cofnął się i usiadł na łóżku.

— Dobrze, że już się obudziłeś. Może coś zjesz?

Potrząsnął głową uważnie przypatrując się dziewczynie. Gdy postąpiła krok naprzód wyciągnął gwałtownie dłoń przed siebie.

— Nie podchodź!

— Co ci się stało, Davidzie? — spytała, ale posłusznie cofnęła się pod drzwi.

— Dlaczego jestem taki?

— Jaki, kochanie?

— Taki biały! — ryknął. — Nie widzisz jak ja wyglądam? Jakby mnie ulepiono z gipsu!

— To wpływ lekarstw jakie podawaliśmy ci w czasie choroby — odparła spokojnie patrząc mu prosto w oczy.

Przypatrywał jej się stukając pięścią w otwartą dłoń.

— No, dobra — powiedział w końcu. — Chcę się teraz normalnie ubrać i wyjść stąd.

— Powinieneś leżeć.

Wstał.

— Gdzie jest Hideride?

— Kto?

— Hideride.

— Kto to jest Hideride?

Zbliżył się gwałtownie. Chwycił ją za ramiona i mocno nią potrząsnął.

— Pilot. Mój pilot. Robert Hideride. Gdzie on jest?

Wyrwała się z jego rąk.

— Przestań! To boli. Coś ci się pomyliło. Twoim pilotem jest Gashby.

Inspektorowi zaczęły drżeć ręce. Nagłym ruchem odsunął na bok dziewczynę i wybiegł na korytarz. U sufitu płonęły jasnym blaskiem mleczno-białe lampy. Oparł się o ścianę i zauważył, że jego dłoń jest identycznego co ona koloru. Zataczając się pobiegł naprzód przed siebie. Zobaczył na końcu korytarza wchodzącą do jednej z kabin postać i głośno krzyknął. Dopadł drzwi, które rozsunęły się przed nim i wpadł do obszernej kabiny. Poznał natychmiast wnętrze, ale człowiek siedzący przy błyskającym dziesiątkami świateł pulpicie naprzeciw ekranów ukazujących obecne położenie rakiety, był mu całkowicie obcy.

Mężczyzna odwrócił się.

— Inspektorze. Witam pana — uśmiechnął się i wstał z wyciągniętą dłonią.

Lansdale machinalnie wyciągnął rękę przed siebie. Zauważył, że ciało mężczyzny jest równie białe jak jego własne.

— Czy pan też musiał brać te leki?

— Jakie leki? — nie zrozumiał pilot.

— Mamy jednakowo białą skórę.

— Acha, to — Gashby zmieszał się lekko. — No cóż, zdarza się czasami. To dość szybko przechodzi.

Lansdale przyglądał mu się z lekkim uśmiechem.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie są moje rzeczy?

— Zaraz pana zaprowadzę.

Wyszli na korytarz i Gashby otworzył drzwi znajdujące się naprzeciw kabiny, którą właśnie opuścili.

— Teraz może pan przenieść się tutaj — powiedział pilot. — W szafach są wszystkie pana rzeczy. Przepraszam, zostawiam pana samego, ale muszę już wracać.

Odwrócił się.

— Chwileczkę — Lansdale przytrzymał go za ramię.

— Tak? — pilot wolno obrócił się w stronę inspektora.

— Proszę mi powiedzieć, kiedy będziemy na Ziemi?

— Za niecałe dwa tygodnie.

- Czy wysłał pan wiadomość o naszym powrocie?  
— Tak.  
— Czy potwierdzono odbiór komunikatu, który nadałem jeszcze z bazy?  
— Tak.  
— Dobrze.

Milczeli chwilę.

- Czy mogę już odejść, inspektorze?  
— Tak. Proszę.

Gdy drzwi zasunęły się za pilotem wyciągnął z szafy swoje ubranie i założył je. Kiedy zapiął już ostatni guzik munduru znów poczuł się jak człowiek.

Obejrzał się w lustrze wtopionym w ścianę i lekko przycesał krótko ostrzyżone włosy. Przyglądał się sobie z zadowoleniem i gdyby nie ta koszmarna biel twarzy i dłoni czułby się zupełnie dobrze. Nie zauważył, że do pokoju weszła Kathleen i uważnie mu się przygląda. Wreszcie dostrzegł ją.

- Słucham, czego sobie życzysz?

Wzruszyła ramionami.

- Tak przyszłam. Do ciebie. Chyba nie przeszkadza ci to?

— Nie, skądże.

Usiadł na krześle.

- Siadaj — wskazał jej łóżko.

Ona jednak podeszła do niego, usiadła mu na kolanach i mocno się przytuliła.

Poczuł zapach jej włosów, ciepło ciała i nagle ogarnęła go ochota, aby objąć ją, przycisnąć do siebie, wsłuchać się w rytm jej serca. I w tym momencie uświadomił sobie tak wyraźnie jak nigdy dotąd, że jej serce przestało na zawsze bić już cztery lata temu.

\* \* \*

Kroił właśnie usmażone przez Kathleen jaja na bekonie, gdy gorący tłuszcz prysnął mu do oka. Chwycił się za twarz wypuszczając z palców widelec.

- Cholera — zaklął.

Otworzył oczy, ale jedna z powiek nadal nerwowo drgała.

- Do wesela się zagoi — rzucił Gashby patrząc na Kathleen.

— To za to, że rzuciłeś się tak łąpczywie na jedzenie — roześmiała się dziewczyna. — Nie rozpieszczali cię tam chyba.

— Prawda, żarcie było podłe — mruknął inspektor. — Zresztą Aubrey i jego ludzie głównie chlali i to niewąsko.

- Kto? — spytał Kathleen przechylając głowę.

— Aubrey — powtórzył Lansdale. — Szef ochrony bazy.

Gashby z dziewczyną wymienili krótkie, szybkie spojrzenie.

- Pomyliło ci się coś Davidzie, tam nie było człowieka o tym nazwisku.

Inspektor zatrzymał w pół ruchu dłoń, którą podnosił do ust. Odłożył gwałtownie widelec.

- Co tym mówisz? Kapitan Aubrey. Możesz sprawdzić na liście.

Kathleen uśmiechnęła się.

- Po co? Pewnie masz rację, mój drogi. Nie mam pamięci do nazwisk.

Utkwiła wzrok w swoim talerzu.

— Ja chcę, żebyś sprawdziła! — krzyknął Lansdale i trzasnął pięścią w stół aż zatrząsnęły się naczynia. — Robicie ze mnie idiotę. Ty i ten dziwny facet — wskazał dłonią na Gashby'ego.

- Ależ inspektorze...

— Zamknij się! Nigdy w życiu cię nie widziałem. Moim pilotem był Robert Hideride.

Kto ty w ogóle jesteś?

Gashby spojrział bezradnie w stronę dziewczyny. Ta zbliżyła się i oparła dłonie na ramionach inspektora.

— Davidzie. Proszę cię. Przeżyłeś szok. Za parę dni wszystko się wyjaśni.

Lansdale odsunął ją gwałtownie.

— Przynies tę listę.

Wyszła cicho z kabiny i po chwili wróciła niosąc kartę papieru w okładce z przezroczystego plastiku. Inspektor prawie wyrwał jej listę z rąk.

— Kapitan Slough, kapitan MacDonald, profesor Ritcherson, profesor Levy... O Boże!  
— ryknął nagle rzucając kartę na stół. — Tam nie było takich ludzi!

Obrócił się w stronę Kathleen, ale ta stała przy ścianie z wzrokiem wbitym w podłogę. Zwrócił twarz w stronę Gashby'ego, ale on tylko przelotnie zerknął na inspektora, po czym odwrócił się.

— Przepraszam na chwilę — powiedział kierując się w stronę drzwi.

— Stój! — krzyknął Lansdale.

Podbiegł do pilota i chwycił go za klapy bluzy. Potrzęsął nim.

— Co tu się dzieje? Kto ty jesteś?

Gashby próbował uwolnić się z rąk inspektora.

— Dlaczego jesteś taki biały?! Taki biały!

Pchnął mocno pilota, tak że ten zatoczył się aż na ścianę. Wzniósł rękę aby go uderzyć, ale Gashby uchwycił jego dłoń w nadgarstku. Lansdale poczuł się tak jakby na dłoni zacisnęły mu się metalowe kleszcze. Pilot wykręcił mu rękę do tyłu i inspektor jęknął.

— Lester. Przestań! — krzyknęła Kathleen.

Gashby posadził Lansdale'a na krześle.

— Niech się pan uspokoi — powiedział twardym głosem. — Zachowuje się pan jak rozhisteryzowany szczeniak.

Inspektor położył dłonie na stole i poczuł jak drżą mu ręce. Kątem oka dostrzegł jak lista załogi bazy nasiąka tłuszczem. Roześmiał się. Nagłym ruchem obrócił się w stronę stojącego tuż obok Gashby'ego.

— Ty kukło! Ciebie nie ma!

Zerwał się i wyciągnął rękę w stronę Kathleen.

— Ciebie też nie ma! Idźcie do swojego świata! Zostawcie mnie w spokoju!

Nagłym ruchem trzasnął pilota łokciem w żołądek, a gdy ten jęcząc zgiął się do ziemi inspektor runął w stronę drzwi. Odtrącił zasłaniającą mu przejście Kathleen i wypadł na korytarz. W tym samym momencie, gdy przekroczył próg kabiny powstrzymało go szarpnięcie i wpadł z powrotem do środka upadając na podłogę.

Zdziwił się jeszcze jak Gashby zdołał tak szybko pozbierać się po ciosie, po czym ujrzał zbliżającą się z dużą szybkością jego pięść i myśli utonęły w bezmiarze bólu.

\* \* \*

Leżał znów w białym, jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu przywiązany unieruchamiającymi całe ciało pasami do łóżka. Próbował się poruszyć, ale mógł jedynie kiwać głową i ruszać palcami rąk i nóg. Dopiero po chwili zobaczył siedzącego nieco z tyłu na krześle Gashby'ego. Mężczyzna spał z głową opartą o ścianę.

— Gashby!

Ocknął się natychmiast.

— Niech pan mnie zaraz uwolni.

Pilot pokręcił głową.

— Gashby, niech pan nie będzie idiotą. Złożę na pana skargę. Uderzył pan przełożonego oficera. Pan wie co za to grozi?

— Niech się pan nie wygłupia, inspektorze — powiedział zmęczonym głosem pilot. — Był pan niebezpieczny dla otoczenia. Nawet jeśli złożysz pan skargę, to w Dowództwie będą mieli nagrany film z całego zajścia. Postąpiłem w jedyny słuszny sposób.

Lansdale westchnął.

— Dobra. Niech mnie pan rozwiąże.

— Przykro mi. Do czasu przylotu na Ziemię pozostanie pan tutaj.

— Oszaleliście?

Do kabiny weszła Kathleen z małą plastikową kasetką w ręku.

— Dzień dobry, Davidzie. Jak się czujesz?

— Zdejmijcie ze mnie to świństwo.

Zbliżyła się do inspektora i odsunęła przykrywający go koc.

— Niestety, kochanie. Musimy uważać na ciebie. Na Ziemi czeka cię honorowe powitanie. Musisz być w pełni sił.

Podciągnęła do góry rękaw jego koszuli i otworzyła kasetkę.

— Nie, ty zwariowałaś!

Prysnęła aerozolem na wewnętrzną stronę zgięcia ręki i przystawiła do żyły wąski metalowy opalizujący cylinder.

— Daj mi spokój! Zostaw!

Dotknęła tłoczka i poczuł wchodzącą w ciało igłę. Po chwili już spał.

\* \* \*

Obudził go chłód i ukłucie igły wchodzącej w przedramię. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą jasną plamę czyjejs twarzy. Zamrugał mocno powiekami i rozmyte kontury zaczęły wolno przechodzić w rysy Kathleen.

— Już czas, Davidzie. Wylądowaliśmy. Za pół godziny wychodzimy.

Podniósł dłonie do twarzy i dotknął delikatnie ciała opuszkami palców:

Miał wrażenie jakby dotykał drewna.

— To przejdzie — powiedziała szybko Kathleen. — Teraz spróbuj wstać.

Opierając się o jej ramię unióś ciało do góry. Głowa była jak ciężki, napompowany wodą balon. Chwiała się niezależnie od jego woli. Dziewczyna musiała zauważyć, że z Lansdałem jest coś nie w porządku, bo znów poczuł ukłucie w zgięciu ręki, a zaraz potem nagły przypływ sił.

— Już lepiej — powiedział.

Poprowadziła go korytarzem, w kierunku kabiny, gdzie umył się i ubrał. Lodowaty strumień wody, którym przez długi czas traktował całe ciało orzeźwił go i rozjaśnił myśli. Założył pachnącą świeżością bieliznę i nienagannie zaprasowany mundur, po czym uważnie przyrzucił sobie w lustrze.

Twarz jakby stała się coraz mniej biała i wolno nabierała pewnego sinego odcienia, co wyglądał znacznie gorzej niż poprzednio. Włosy były sztywne i z trudem dały się zaczesać, a inspektor ze zdziwieniem zauważył, że całe pęki ich zostały na grzebieniu.

Kathleen obserwowała go z lekkim uśmiechem na ustach.

— Już czas — powiedziała. — Wyglądasz doskonale.

Dopiero teraz zauważył, że i ona ma na sobie mundur.

— Co to jest! Jak ty się ubrałaś?

— Jak to jak? — zdumiała się.

Machnął ręką.

— Dobrze. Chodźmy.

Na korytarzu napotkali Gashby'ego i razem poszli w stronę oddzielających ich od świata śluz. Gdy pancerne płyty po kolei unosiły się prowadząc ich z jednej komory do drugiej Lansdale uważnie przyglądał się Gashby'emu i zauważył, że twarz pilota nadał pozostała bia-

ła.

Wreszcie ostatnia z zapór, płyta kilkudziesięciocentymetrowej grubości podniosła się i stanęła na podeście, od którego prowadził na dół rząd schodów.

Kilkanaście metrów niżej, przy ostatnim stopniu stało trzech oficerów w tym jeden w mundurze admirała, kilka metrów za nimi salutowała cała grupa Kawalerów Komandorii. Jeszcze dalej przy samym metalowym murku, za którym tłoczyło się kilkudziesięciu dziennikarzy stała orkiestra wojskowa i wytrwale wybijała na werblach Marsz Powitalny.

Gashby lekko klepnął inspektora i ten zaczął schodzić, a Kathleen i pilot tuż za nim. Warkot werbli wzmógł się.

Lansdale uważnie przyglądał się twarzy stojącego pod nim admirała.

— Kto to jest ten facet? — szepnął do tyłu.

Chwila ciszy.

— Admirał Matthews.

Skinął głową.

Jeszcze tylko parę stopni i czekający chwycił jego dłoń mocno nią potrząsając. Werble umilkły. Błysnęły setki fleszy.

— Drogi Davidzie, jakże się cieszę — mamrotał admirał.

Gdy wypuścił inspektora dwaj stojący obok oficerowie uścisnęli dłoń przybyłego wypowiedzując parę grzecznościowych formuł.

Otoczeni szpalerem Kawalerów Komandorii skierowali się w stronę podziemnego tunelu wiodącego do hali kosmodromu.

Lansdale dostrzegł, że admirał ma białą twarz. Jeden z oficerów towarzyszących mu siną, a drugi sinoniebieską. Rozejrzał się dyskretnie i zauważył, że wśród otaczających go ludzi nikt nie ma twarzy normalnego koloru. Oprócz Kathleen. I to właśnie było sprawą, nad którą musiał się poważnie zastanowić.

\* \* \*

Stał w towarzystwie admirała Matthews'a i wiceadmirała Bayleya popijając koniak z kieliszka. Obaj oficerowie zwracali się do inspektora po imieniu i z dużą dozą serdeczności, co było o tyle dziwne, że ten nigdy przedtem nie widział ich na oczy. Poza tym Bayley miał twarz i dłonie ohydnie lekko fioletowego koloru.

— Bardzo się cieszę Dawidzie. Bardzo. Twój awans jest już przesądzony. Spełniłeś swe zadanie znakomicie. Masz szanse na otrzymanie następnej odpowiedzialnej misji.

Lansdale zatrzymał kelnera i położył pusty kieliszek na tacy, wziął drugi pełny i przechylił go wypijając alkohol jednym haustem.

— Serdeczne dzięki — mruknął.

— Ależ Davidzie...

Do rozmawiających podeszła Kathleen w towarzystwie dwóch młodych poruczników.

— Davidzie. Panowie koniecznie chcieli cię poznać.

Obaj oficerowie skłonili się sztywno.

— Porucznik Herbert.

— Porucznik Arnesen.

Lansdale skinął im uprzejmie głową.

— Miło mi poznać panów. Czy Ronald Arnesen był może pana krewnym? — zwrócił się w stronę jednego z przybyłych.

— Tak. Jest jednym z moich krewnych.

— Jak to? — uśmiechnął się nerwowo inspektor. — Przecież Ronald zginął na trzeciej Ptolemeusza.

— Pan się myli inspektorze — odparł uprzejmie porucznik. — Mam zaszczyt poinformować pana, że mój kuzyn żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

Lansdale ścisnął palcami skronie. Kieliszek wypadł mu z palców. Szkło rozprysnęło się na marmurowej posadzce.

— Co się stało, inspektorze?

Poczuł czyjeś podtrzymujące go dłonie. Spojrzał do góry i światła kryształowych lampionów zawirowały w przerażającym tempie. Nagle smak koniaku na ustach i cienkie szkło tłukące się o zęby.

— Lepiej panu?

— Davidzie, co ci jest?

Wyprostował się z trudem.

— Przepraszam. Jestem trochę zmęczony.

— Kathleen, odprowadź Davida na górę do pokoju — powiedział admirał.

Inspektor uwolnił się z przytrzymujących go rąk.

— Dziękuję panom. Przepraszam.

— Szkoda, że pana nie będzie — powiedział Arnesen. — Admirał Leslington ma zaszczyć nas swoją wizytą.

— Kto? — krzyknął Lansdale. — On nie żyje! On też nie żyje! Wy wszyscy jesteście martwi!

Rozmowy ucichły na całej sali. Wszyscy zwrócili oczy w ich stronę.

— Martwi! — ryczał inspektor. — Martwi!

Arnesen i Herbert ujęli go lekko pod łokcie i poprowadzili w stronę wyjścia. Admirał dał jakiś znak i z głośników popłynęła muzyka.

— Trupy! Cholerne umarlaki!

Porucznicy wyprowadzili Lansdale'a. Za nimi pobiegła Kathleen. Kelner uprzątał rozbite szkło. Na salę powrócił gwar rozmów.

\* \* \*

Stał pochylony nad umywalką i wymiotował wprost pod strumień lecącej z kranu zimnej wody. Kathleen stała obok niego i trzymała go za ramiona wciąż wstrząsane nowym spazmem. Nagle znieruchomiał, oparł drżące dłonie na krawędzi umywalki i wolno podstawił głowę pod bicz wody. Chłód i bolesne uderzenia kropeł o skórę orzeźwiły go. Spłukał zaślonioną twarz i obrócił się w stronę dziewczyny.

— I co, lepiej ci? — spytała.

Przyjrzał się uważnie jej zatroskanej twarzy, smutnym podkrążonym oczom. Nagle pchnięty nieoczekiwanym impulsem chwycił ją mocno za włosy i szarpnąwszy wsadził jej głowę pod strumień. Krzyknęła, ale zatkał jej usta. Próbowwała go ugryźć, więc trzasnął ją wierzchem dłoni w zęby.

Paznokciami zaczął drapać jej twarz. Opalona skóra schodziła płatami i splukiwana strumieniem wody gineła w głębi umywalki. Spod maski zaczęła wyglądać gipsowa biel ciała. Sapnął ciężko i coraz gwałtowniej zaczął zdzierać sztuczną powłokę jej twarzy.

W pewnej chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi i nim zdołał się obrócić poczuł silny uchwyt na swoich ramionach. Próbował jeszcze nagłym skrzętem ciała wyzwolić się spod władzy nastpnika, ale nagle poczuł uderzenie w głowę. Trzasnął czołem w krawędź umywalki i myśli zgasły.

\* \* \*

Siedział nieruchomo na wąskim zielonym materacu otoczony miękkimi jak puch zielonymi ścianami. Dyskretnie seledynowe światło promieniowało spod sufitu i gasło w równych odstępach na pewien ściśle określony okres czasu. Od czasu do czasu ze ściany wyciągała się zielona łapa podajnika trzymająca niezmiennie ten sam posiłek: kubek soku i kilka kostek odżywczych.



Lansdale sam już nie wiedział jak długo jest więziony. Próbował policzyć odstęp między jednym posiłkiem a drugim, ale myśli plątały się, gubiły i w końcu zapomniał ostatnią z liczb. Zaczynał liczyć od nowa i znów po pewnym czasie przestawał zmylony natrętnymi, niechcianymi myślami tłoczącymi się u wejścia do mózgu. Nagle, kiedy siedział ze zwieszoną głową smętnie kiwając się w przód i w tył poczuł czyjąś obecność. Spojrzał w róg pokoju i zobaczył wypełniający kąt między ścianami, przelewający się z miejsca na miejsce niewyraźny kształt. Przetarł mocno oczy, ale nic to nie pomogło. Kształt zaczął wirować, inspektor nie mógł oderwać od niego wzroku i chwyciły go nagle zawroty głowy. W pewnym momencie poczuł jak unosi się gdzieś wysoko w górę, a jednocześnie dojrzał siedzące na materacu własne ciało. Naraz ciało zniknęło i inspektora otoczyła nieprzenikniona ciemność.

## KONTROLA MÓZGÓW

Siedział naprzeciw ciemnych ekranów przy pełnym przycisków pulpicie z wbudowanymi tuż przy krawędzi rzędami mikrofonów.

Nagle zabłysło jedno ze świateł i przestało mrugać dopiero wtedy, gdy wcisnął wbudowany obok taster.

— Kenneth, słucham?

— Generale, melduje się pułkownik Ashford. Otrzymałem pilny komunikat z Centrum.

— Słucham.

— Dwa nazwiska do sprawdzenia. Martin Ianesz Procedura A—1, Robert van Hoven Procedura A—4.

— W porządku.

Włączył blokady informacyjne i w tej samej chwili przestały działać wszelkie kamery i urządzenia podsłuchowe.

— Martin Ianesz — powiedział do mikrofonów.

Na wąskim pasie jednego z ekranów pojawiła się jasno świecąca kombinacja cyfr i liter. Szybko wystukał ją na wbudowanych w pulpit klawiszach.

— Uwaga. Martin Ianesz. Obserwacja. — rozległ się głos komputera.

Rozjarzył się jeden z ekranów, przez który przebiegła pulsująca czerwona linia.

— Ekran pierwszy. Wykres pracy mózgu.

— Przyjąłem.

— Ekran drugi. Obraz myśli obserwowanego Martina Ianesha.

Kolorowa mozaika plam wolno przeistoczyła się w rozmyte i podlegające ciągłym zmianom obrazy.

— Przyjąłem.

— Ekran trzeci. Środowisko zewnętrzne.

Kenneth zobaczył ten obraz jaki w danej chwili pojawił się przed oczyma obserwowanego. Zwykły skromnie urządzony pokój. Na krześle przy ścianie siedzący starszy mężczyzna.

— Przyjąłem.

— Ekran czwarty. Interpretacja myśli obserwowanego Martina Ianesha w danej chwili.

Na następnym z ekranów pojawiła się seria napisów. Kenneth włączył urządzenie dekodujące i szybko przebiegł tekst wzrokiem.

— Przyjąłem.

— Ekran piąty. Interpretacja ogólna myśli obserwowanego Martina Ianesha na podstawie rocznych danych.

Znów seria napisów. Tym razem siedzący przy pulpicie mężczyzna nieco dłużej zajmował się tekstem, a nawet po zgaśnięciu ekranu kazał wyświetlić go raz jeszcze.

— Przyjąłem.

— Ekran szósty. Wnioski z badania obserwowanego Martina Ianesha.

Mała lampa umieszczona pośrodku ekranów zaczęła pulsować czerwonym światłem.

— Przyjąłem. Zdjąć obserwację.

Światła zgasty.

Kenneth wyłączył blokadę informacji. Wcisnął jeden z tasterów.

— Słucham, pułkownik Ashford — dobiegł go głos z głośnika.

— Martin Ianesha. Przekazuję komunikat do Centrum.

— Słucham.

— Osobnik szczególnie niebezpieczny dla naszego systemu społecznego. Komputer zaleca izolowanie. Osobiście zastanowiłbym się nad likwidacją. Tego van Hovena załatwię później. Chwila ciszy.

— Przyjąłem.

Kenneth przeciągnął się lekko. Zapowiadał się ciężki dzień. Zawsze, gdy chociaż raz nadany był komunikat z Centrum wróżyło to całą serię poleceń, z których niektóre były bardzo kłopotliwe i wymagały dużego nakładu czasu.

Generał niezbyt orientował się w tym co zachodziło na Ziemi, ale sądził, że nawała poleceń obserwacji wiązała się z czystkami wśród przeróżnych i niezwykle licznych organizacji antyrządowych.

Kenneth był jednym z ludzi, którzy niejako zmuszeni sytuacją odsunięci zostali od wszelkich spraw związanych z polityką. Funkcja generała była zbyt odpowiedzialna i związawszy się z którymkolwiek ze stronnictw opozycyjnych mógł dosłownie przewrócić świat do góry nogami. Dlatego też mimo zaufania jakim go darzono był ściśle obserwowany i wręcz izolowany od reszty społeczeństwa.

Prawdę mówiąc nie tego spodziewał się po swoim stanowisku, ale cały czas czekał na właściwą chwilę. Chwilę, w której będzie mógł wejść na arenę wielkiej polityki z tak pokąźnym bagażem informacji, że stanie się cennym sprzymierzeńcem i niebezpiecznym przeciwnikiem.

Niedawno wraz z pułkownikiem Ashfordem złamali szyfr blokujący dostęp do informacji o najwyższych osobistościach w rządzie. Dziś właśnie dokonać mieli selekcji i przeglądu materiału. A potem — generał aż przymrużył oczy. — Potem czekał wielki świat.

Znów zaczęło pulsować jedno ze światel. Ze złością wduśli przycisk.

— Kenneth słucham?

— Generale, melduje się porucznik DalGLISH. Przybyła komisja z Centrum.

Kenneth z trudem powstrzymał grymas niezadowolenia.

— Proszę wprowadzić do mnie.

Czekał spokojnie na przybycie kontrolerów. Zapewne jak zwykle mają sprawdzić czy pracownicy Bazy pozostają nadal lojalni. Uśmiechnął się do swoich myśli. Już dawno znaleźli z Ashfordem sposób na to, aby komputer podawał komisji tylko odpowiednio wyselekcjonowane pozytywne dane.

Rozległ się brzęczyk i światło przy drzwiach zaczęło pulsować. Kenneth włączył podgląd i zobaczył stojących na zewnątrz trzech oficerów w mundurach Departamentu Bezpieczeństwa. Zwolnił blokadę i pancerna płyta odsunęła się na bok. Oficerowie weszli do środka, a wraz z nimi, obecny jak zwykle przy każdej kontroli, pułkownik Ashford.

Przywitali się z generałem i przystąpili zaraz do pracy. Kenneth siedział spokojnie odwrócony do nich plecami.

Inspekcja przeciągała się. W pewnym momencie poczuł lekkie zdenerwowanie. Kontrola nigdy jeszcze nie trwała tak długo. Obrócił się w fotelu i zobaczył, że stoją we czwórkę, pochyleni, rozmawiając o czymś szeptem. Poczuł strumyk potu spływający z karku na plecy. W myślach zganił się za nadmierną nerwowość. Zobaczył, że na ekranach wyświetlane są

jego dane. Przypatrzył się im bliżej i poczuł, że serce zaczyna mu łomotać przyspieszonym rytmem. Ścisnął dłonie w pięści, aby powstrzymać drzenie palców. Oficerowie spojrzeli w jego stronę.

— To chyba wystarczy — powiedział jeden z nich.

Podeszli we trzech do siedzącego.

— Pan pozwoli z nami, generale.

Wstał sztywno i poczuł delikatne metalowe obręcze zaciskające się wokół nadgarstków.

Ashford stał cały czas przy pulpicie i lekko się uśmiechał. Gdy Kenneth przechodził obok niego odwrócił wzrok.

Nagle, gdy mieli już przekroczyć próg generał dojrzał jakiś niewyraźny kształt w rogu pomieszczenia. Kształt zaczął wirować, Kenneth nie mógł oderwać od niego wzroku i chwycił go nagle zawroty głowy. W pewnym momencie poczuł jak unosi się gdzieś wysoko w górę, a jednocześnie dojrzał stojące w otoczeniu oficerów własne ciało. Naraz ciało zniknęło i generała otoczyła nieprzenikniona ciemność.

## DZIEŃ GNIEWU

Brudnoszare płyty odpadającego ze ścian tynku, jakieś napisy wyryte gwoździem z literami zatartymi przez czas, pajak przyczajony na rozpiętej w rogu pajęczynie nerwowo gmerający odnóżami, skrzywienie poruszanego przez wiatr nie domkniętego okna z pustymi oczodołami wybitych szyb. Palce sklezione lepkiem brudem, porwany mundur, kilkudniowy zarost drapiący przesuwaną się po policzku dłoń.

I strach. Kotłujący się gdzieś na samym dnie mózgu, wtopiony w nerwowy łomot serca, przyczajony pod opuszkami drżących palców.

Uszy łowiące każdy niespodziewany szmer i stuk, otepione miarowymi uderzeniami ściekających z sufitu kropel wody.

Podłużny kawałek rozbitej szyby ściskany mocno w dłoni, wrzynający się krawędzią głęboko w skórę, ale dający jakąś namiastkę pewności siebie. Śmieszny kawałek kruchego szkła wystawiony przeciwko całemu światu. W ręku równie śmiesznego, śmierdzącego potem i strachem, skulonego gdzieś w kącie pokoju człowieka.

Tupot nóg na korytarzu, jakieś zdławione krzyki i strach zaciskający się pętlą na szyi uciekiniera, chwytający drapieżną dłonią rozszalałe serce. I później ulga. Poszli dalej.

Czepiając się dłońmi parapetu ostrożnie uniół ciało i lekko wychylił głowę przez okno. Przepaść idąca w dół dziesiątkami metrów, kończąca się szarym betonowym placem ze wszystkich stron zamkniętym ścianami wieżowców. Pośrodku placu czarny milczący kwadrat ludzi w habitach, z kapturami narzuconymi na głowy. Spokojny blask jasno płonących pochodni i zaćmiona nim lekka poświata bladej księżycy.

I nagle przeraźliwy krzyk z setek gardeł. Ludzie wyganiani z bram wieżowców, spędzani na betonowy plac zręcznymi uderzeniami biczów, kierowani ostrymi kłami potężnych psów. Kwadrat mnichów spokojnie rozsypujący się w półkole, a następnie zaciskający się wokół zbiegowiska na wpeł oszalałych ludzi.

Usłyszał nagle brzęczenie i odwrócił szybko głowę. Przebiegł wzrokiem ściany i ujrzał pajaka oplatającego siecią złapaną muchę. Przyglądał się chwilę rozpaczliwemu szamotaniu przerwanemu krótkim ukłuciem pajęczego żądła. Później drapieżca objął muchę odnóżami i powłókł w ustronne miejsce, na sam koniec pajęczyny.

Kansky znów wyrzął przez okno i zobaczył spokojny milczący kwadrat, a obok niego rozrzucone po betonie martwe ludzkie ciała, tak gęsto jedno przy drugim, że z wysokości wydawały się strzępem szarej, skrwawionej szmaty.

Wyprostował się i oparł drżące dłonie o ścianę. Pajak wydawał się odpoczywać, nasy-

cony i zadowolony. Mężczyzna z rozmachem, mocno trzasnął go otwartą dłonią. Na ścianie została brudnokrwawa plama z przyklejonym odwołkiem drgającym w ostatniej konwulsji odnóżami.

Kansky otarł dłoń o spodnie i usiadł na ziemi opierając głowę na krawędzi tekturowego pudła.

\* \* \*

Wydawało mu się, że słyszy już tupot nóg i zdyszane głosy prześladowców za plecami, ale to tylko wyobraźnia podsuwała wyostrozonym przez strach zmysłom majaki i koszmary.

Biegł dalej ciemnym korytarzem i płuca z trudem łowiły już strzępy zatęchłego powietrza. Czuł się tak jakby z każdym krokiem pokonywać musiał jakąś niewidzialną przeszkodę, która uparcie i ciągle stawała na drodze.

Wreszcie stanął i zmęczony oparł się o najbliższe drzwi, które nagle skrzypiąc otworzyły się i wpadł niespodziewanie do drgającego blaskiem świec wnętrza.

Przy stole siedział odwrócony tyłem mężczyzna w czarnym habicie. Kansky cofnął się, ale zatrząśnięte nieznaną siłą drzwi nie ustąpiły pod naporem jego ciała. Mnich odwrócił się.

— Idą — rzekł zduszonym szeptem. — Idą po ciebie. Na chwałę naszego Pana i Jego Królestwa.

Kansky wyszarpnął zatknięty za pasek kawałek szkła, ale człowiek w czarnym habicie wznosił dłoń i szkło rozprysnęło się setkami odłamków.

— Czekaj na swe przeznaczenie, synu — powiedział. — Oni idą. Już idą.

Przybysz rozpaczliwie zaczął mocować się z drzwiami. Ból palców szarpiących klamkę, a w końcu i pięści bezradnie bijących w plastikowe futryny.

Mnich wstał i w drżącym blasku Kansky ujrzał jego brodatą twarz, przeoraną śladami po ospie. Rzucił się w jego stronę, ale dłonie ześlizgnęły się z szyi, natrafiły na gładką czerń materii i spełzły po niej bezsilnie.

Nagle świece zgasty jakby zdmuchnięte gwałtownym powiewem wichru i Kansky poczuł przed sobą pustkę. Schylił się i palce natrafiły na pustą powłokę habitu. I tylko tak jakby złośliwy śmiech przebiegł wzdłuż ścian pokoju i rozwiął się gdzieś za wybitym oknem.

Gdy teraz napał na drzwi, te ustąpiły bez trudu i znów zaczął biec pustym i ciemnym korytarzem. Gdzieś tam w przodzie zajaśniało wątle światelko, ale im dłużej gnał przed siebie tym ono stawało się większe aż wreszcie przylgnąwszy do ścian musiał kryć się przed jego blaskiem.

W rozszerzeniu korytarza płonęło ognisko wciąż podsycane nowymi kawałkami porąbanych mebli lub strzępami zerwanych ze ścian tapet. Przy ogniu siedziało czterech ludzi w czerni, a obok nich leżały bezwładne ciała kilku kobiet.

— Już czas bracia — dobiegł go cichy głos jednego z mnichów.

Drugi chwycił najbliższą z kobiet za włosy i przyjrzał się uważnie jej twarzy.

— Dyszy jeszcze — szepnął.

Pierwszy podał mu ostry, zakrzywiony nóż krwawo błyszczący w blasku pełgających płomieni.

Kansky odwrócił wzrok, ale nie dość szybko, aby nie zauważyć strumienia krwi bluzgającego z przerźniętej szyi. Później z przerażeniem przyglądał się koszarnej uczcie, gdy podzielone na części ciało kobiety, lekko podpieczone nad ogniem pożerane było przez nich wśród pełnych zachwyty jęków i westchnień.

Strach gdzieś zniknął, rozwiął się. Pozostała tylko nienawiść, tak wielka, że Kansky zdziwił się jej przerażającej sile i nim zdążył pomyśleć już skoczył w stronę ognia.

Jeden z mnichów zaskowyczał przeraźliwie, gdy wpadł twarzą w sam środek żaru, a drugi uderzony dwoma palcami w oczy zdążył tylko stęknąć nim z oczodołów trysnęły dwa strumienie krwi.

Dwaj pozostali chwycili napastnika za nogi. Kansky stracił równowagę i upadł wprost w stos dymiących wnętrzości. Zerwał się prawie natychmiast i z siłą, której sam się nie spodziewał, a którą zawdzięczał raczej przerażeniu i obrzydzeniu wyrwał się z rąk mnichów. Pobiegł przed siebie uciekając z blasku ognia zdziwiony, że nie słyszy tupotu goniących go nóg.

Zauważył, że korytarz rozdwaja się, skręcił w prawo. Ku swej radości natknął się na schody i ściskając mocno poręcz zaczął zbiegać przykrytymi warstwą gruzu schodami. Kilka razy potknął się o jakieś sterczące z betonu zardzewiałe pręty, parę razy zabrzączały pod stopami kawały przywleczonego Bóg wie skąd złomu, ale najczęściej spotykał na swej drodze porozrzucane na całej wysokości schodów ludzkie trupy.

Nagle usłyszał jakieś głosy i zamarł w bezruchu. Ujrzał stojących na półpiętrze trzech mnichów, z których jeden trzymał przed sobą w dłoni pochodnię.

— Dokąd tak spieszysz bracie? — spytał chrapliwym głosem.

Kansky cofnął się o krok, aby nie wpaść w krąg światła i nerwowo zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Czyś niemy? — dobiegł go podejrzliwy głos z dołu.

— Nie — odrzekł starając się, aby zabrzmiało to pewnie i surowo. — Ale nie każdy ma prawo pytać gdzie spieszę. Bacz, aby zbyt ciekawość nie doprowadziła cię do zguby.

Na dole zapanowało milczenie, a potem kilka zduszonych szeptów przerwało ciszę.

— Wybacz bracie — rzekł mnich trzymający pochodnię. — Idź dalej swoją drogą.

— Zgaście ogień.

Znów kilka chwil wypełnionych nerwowym szepem i pochodnia zgasła. Wtedy chwycił dłońmi poręcz, przrzucił nogi na drugą stronę i skoczył. Upadł na kolana, ale zerwał się natychmiast i pobiegł czym prędzej na dół.

— Bracie, bracie! — dobiegły go krzyki z góry.

— Gonić! To zbieg.

— Gonić!

Ale wtedy był już dobrych kilka pięter niżej.

Nagle wpadł na kogoś również schodzącego na dół i sturlał się razem z nim na piętro. Gdy tylko wyczuł pod palcami materię habitu chwycił przeciwnika za włosy i uderzył kilkakrotnie jego głową o beton podłogi. Zdarł ze swej ofiary odzienie i prędko sam założył habit nasuwając kaptur głęboko na oczy. Już miał iść dalej na dół, gdy oślepił go blask kilku pochodni. Czarne postacie otoczyły go.

— Czekają już na was mistrzu — rzekł najbliższy z mnichów nisko pochylając głowę.

Poszedł z nimi i dopiero wtedy dostrzegł na swych piersiach koło z białej materii z wyrysowanym pająkiem o purpurowych oczach.

Wszedł do środka niewielkiego pomieszczenia, a ludzie towarzyszący mu zostali na progu. Przy czarnym prostokątnym stole siedziało kilkunastu mężczyzn w habitach, a każdy z nich miał na piersiach koło z białej materii. Ale tylko jeden jedyny Kansky wyróżniał się znakiem pająka o purpurowych oczach.

Gdy wchodził wszyscy siedzący powstali pochylając nisko głowy.

— Niech łaska Pana i miłość jego sług będą z tobą — rzekli zgodnym chórem.

— I z wami bracia — odpowiedział wygrzebując gdzieś z dna pamięci zasłyszaną formułę.

Tylko jedno miejsce było wolne przy krańcu długiego stołu na wysokim rzeźbionym krześle. Usiadł tam, a pozostali dopiero widząc go wygodnie opartego odważyli się pójść w jego ślady. Nastąpiła chwila milczenia.

— Czekamy twej rady mistrzu — rzekł wreszcie niepewnym głosem jeden z mnichów.

Kansky przełknął nerwowo ślinę. Gdzieś w głębi jego ciała zaczął szamotać się strach i musiał schować dłonie w rękawy habitu, aby inni nie dostrzegli drżenia palców.

— Najpierw chcę wiedzieć co wy bracia zamierzacie zrobić. Później powiem wam

swoje zdanie — powiedział starając się, aby głos zabrzmiał twardo i surowo, ale wbrew jego woli słowa rozmywały się i ginęły gdzieś na spieczonych wargach.

Znów długa chwila ciszy. Przerwało ją stukanie do drzwi. Stojący u progu mnich otworzył je i do środka wszedł człowiek wiodący dwa szarpiące się i wyjące psy uwiązane na powrozach. Przybysz skłonił się nisko.

— Ojcowie i ty wielki mistrzu, buntownicy sprzeciwiający się woli naszego Pana zabili dwóch z naszych braci. Przybyłem, abyście raczyli okazać swą moc.

Siedzący najbliżej mówiącego wysoki chudy mnich wstał i zwrócił się w stronę Kansk'y'ego.

— Pozwolisz, mistrzu?

Kansky skinął głową nie wiedząc nawet na co wyraża zgodę. Mnich wyciągnął dłonie, z jego palców trysnął snop czerwonych iskier; wirującą aureolą otoczył głowy szalejących psów. Z podłogi zaczął sączyć się dym, który rychło czarnym kłębem otoczył ciała obu zwierząt. Mnich raz jeszcze poruszył dłońmi i tuman rozwiął się jakby spłoszony nagłym wicherem, a z podłogi gramolili się dwaj mnisi w czarnych habitach.

Przez chwilę jeszcze zdumieni chodzili podpierając się dłońmi, krzywili twarze i wydawali głuchy warkot, ale nim Kansky zdołał zobaczyć co będzie z nimi dalej wyprowadzono ich na zewnątrz i zatrzaśnięto drzwi.

Kansky pochylił nisko głowę, aby nie zauważono bladości jego twarzy. Czoło pokryło się perlistym potem, ale nie mógł się odważyć na otarcie go dłonią.

Nagle w uszy siedzących wdarł się gwałtowny szum, który niedługo przerodził się w grzmiący huk. Trzasnęły szyby wyskakujące z ram i rozpryskujące się na podłodze, poleciały wkoło drzazgi rozbitych futryn. Światło zgasło i nastąpiła nieprzenikniona ciemność. Kansky nie mógł dostrzec nawet swej dłoni podstawionej przed same oczy.

— Nasz Pan, nasz Pan — rozległy się przerażone krzyki.

— Władca nadchodzi.

— A On ich zwycięży, bo Panem jest panów i Królem królów...

— Biada nam, biada...

Kansky zanurkował pod stół i zaczął czołgać się w stronę drzwi. Nagle huk ucichł. Kansky odwrócił się w stronę okna i ujrzał wpatrzony w siebie dwie purpurowe źrenice. Czerwony blask objął wnętrze pokoju. Mnisi również dostrzegli przyczajonego na oknie stwora, bo poupadali na twarze i zaczęli tłuc czołami w beton.

Ale przerażające oczy Bestii wpatrzony były tylko w Kansk'y'ego. Nagle dwa lepkie ramiona wyprysnęły z obłego cielska i chwyciły mężczyznę zaciskając się w morderczym uścisku. Próbował nabrać powietrza, ale gniecione żebrami płuca stawały się coraz mniej przydatne. Z jego gardła wyrwało się głuche rżenie. W pewnym momencie mimo mroku ujrzał koło siebie niewyraźny kształt. Duszące macki jakby osłabły i w tej chwili kształt zaczął wirować. Kansky nie mógł oderwać od niego wzroku i chwyciły go nagle zawroty głowy. W pewnym momencie poczuł jak unosi się gdzieś wysoko w górę, a jednocześnie dojrzał tkwiące w łapach pająka własne ciało. Naraz ciało zniknęło i Kansk'y'ego otoczyła nieprzenikniona ciemność.

## IMPERIUM

Jeden z oficerów podszedł do rzędu mikrofonów wbudowanych w pulpit.

— Uwaga. Do wszystkich statków Sił Kosmicznych Imperium Solarnego. Ogłaszam stan gotowości bojowej. Zgłaszać się według procedury alarmowej.

Olbrzymi, wypełniający całą ścianę ekran, podzielony na dziesiątki małych kwadratów zaczął powoli się rozjarzać. Najpierw błysnęło czternaście pól, na których pojawiły się twarze

dowódców krążowników, następnie trzydzieści trzy kwadraty łączności z niszczycielami. Potem po kolei błyskało sześćdziesiąt siedem małych pól przeznaczonych dla dowódców torped. Jedyne ekran łączności z Kosmocentrum na Ziemi pozostał ciemny. Do pulpitu podszedł Aubrey.

— Generał Aubrey do dowódców statków Sił Kosmicznych. Siedem minut temu przekroczyliśmy granice naszej sfery gwiazdnej, siedem i pół minuty temu nasz rząd wypowiedział wojnę Republice Aklandzkiej. Według meldunków obserwatorów leci w naszą stronę flota aklandzka w liczbie pięćdziesięciu sześciu statków w tym dwadzieścia krążowników, w układzie gwiazd Altres przygotowuje się druga flota licząca sto czterdzieści dwa statki w tym siedemdziesiąt dziewięć torped. Spodziewane połączenie obu flot przewiduje się za dwadzieścia trzy minuty. Zalecam natychmiastowe uderzenie pierwszej, trzeciej, czwartej i piątej eskadry torped oraz ustawienie eskadr drugiej i szóstej w szyku bojowym według procedury „Czerwony alarm”. To wszystko, panowie.

— Chwileczkę, generale — odezwał się dowódca jednego z krążowników. — Czy nie uważa pan, że celowe byłoby wysłanie części naszych sił w stronę Układu Altres. Obawiam się, że dopuszczenie do połączenia obu flot aklandzkich może być zgubne w skutkach.

— Pułkowniku Rezner, sądzę, że rozkazy były jasne. Jednakże chciałbym panu wyjaśnić, że cztery eskadry torped nie zostają wysłane w kierunku Aklandczyków, aby się z nimi bawić. Pierwsza flota aklandzka dysponuje zaledwie dwudziestoma torpedami i sądzę, że nasze uderzenie pozwoli na likwidację co najmniej pięćdziesięciu procent ciężkich statków przeciwnika.

— Jest pan optymistą.

Aubrey poczerwieniał.

— Pan się zapomina Rezner.

— Nie generale. Chciałem tylko pana poinformować, że wysłałem natychmiast meldunek do Centrum zawiadamiający o pełnej niekompetencji dowódcy.

Aubrey z czerwonego stał się siny.

— Pana prawo — rzekł z wymuszonym spokojem. — Ale wyciągnę odpowiednie konsekwencje z pana zachowania.

— Proszę bardzo — odparł Rezner. — Jednakże liczę jeszcze na pana rozsądek. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że z czterdziestu wysłanych torped może nie wrócić żadna i zostanie nam ich dwadzieścia siedem przeciwko prawie osiemdziesięciu drugiej floty aklandzkiej. To jest o wiele za mało, aby postawić skuteczną blokadę i nasze ciężkie statki mogą mieć duże kłopoty z samymi torpedami przeciwnika. A co dopiero krążowniki i niszczyciele, których mają więcej od nas...

— Dziwię się, że jest pan żołnierzem Rezner — warknął generał. — Za bardzo boi się pan o własną skórę. Aby wygrać trzeba ryzykować. A teraz proszę, aby zastosował się pan do moich poleceń. Dziękuję.

Ekran powoli gasł.

— Samobójstwo, generale — powiedział cicho stojący za plecami Aubreya oficer. — Ten manewr byłby dobry, gdyby miał pan pięćdziesiąt torped więcej. Z tymi co nam zostaną nie postawimy blokady. Nim rozpoczniemy właściwą walkę z krążownikami i niszczycielami stracimy większość statków.

Aubrey zacisnął usta.

— Co jest do kurwy nędzy — powiedział pochylając się mocno w przód. — To ma być bitwa czy dyskusje srających w gacie oficerów?

Mężczyzna rozmawiający z generałem pobladł.

— Pan nie ma prawa...

— Milczeć! Ja mam prawo nawet pozbawić dowództwa takiego chuja jak Rezner, a panu radzę wziąć się do roboty!

— Generale, składam oficjalny...

— Spierdalaj! — ryknął Aubrey.

Siedzący na fotelach przy pulpicie oficerowie odwrócili głowy.

— Generale, jeśli można na chwilę — powiedział jeden z nich.

Aubrey zostawił bladego jak ściana oficera i zbliżył się do pulpitu.

— Co jest?

— Przechwyciliśmy meldunek dowódcy pierwszej floty aklandzkiej w stronę Altres. Komputer złamał szyfr. Zauważyli nasz manewr i rozpoczęli hamowanie.

— Skurwysyny — syknął generał. — Czy mogą się połączyć z drugą flotą nim dojdą nasze torpedy?

— Trudno powiedzieć. Sprawa idzie na styk. To problem dwóch, trzech minut. Jeżeli torpedy będą miały te dwie, trzy minuty wykonają zadanie. Ale należy liczyć się z tym, że żadna nie wróci. Nie zdążą.

Aubrey skinął głową.

— Wiem.

Nagle rozjaśnił się największy z ekranów.

— Centrum do dowódcy Pierwszej Floty — zagrzmiały głośniki.

— Aubrey. Jestem.

Ekran zajęła twarz Dowódcy Sztabu Perkinsa.

— Proszę wydać rozkaz natychmiastowego hamowania. Poczeka pan na Drugą Flotę. Dowództwo obejmie generał Lindley.

Aubrey milczał długą chwilę.

— To niemożliwe — rzekł. — Idziemy pełnym ciągiem. Nie zdążymy się połączyć z Lindleyem przed bitwą.

Perkins obrócił się i cicho wymienił z kimś parę zdań.

— Dobrze — powiedział. — Pana zadaniem jest wytrzymać uderzenie przeciwnika do czasu nadejścia Drugiej Floty. Prezydent wydał surowy zakaz wycofania się. Ma pan zaangażować w walkę sto procent sił aklandzkich. To wszystko. Dziękuję.

Ekran zgasł.

— Pełny ciąg — rozkazał Aubrey.

— Generale, możemy jeszcze rozpocząć hamowanie.

— Nigdy! Powiedziałem: pełny ciąg.

Drzenie przebiegło kadłub statku.

— Nie będę cierpiał za tych idiotów ze Sztabu. Aklandczycy mieli mieć w gotowości bojowej połowę tych sił, które mają. Popełnili błąd, a teraz chcieliby zwalić winę na mnie. O nie, albo zginiemy i wtedy gównu mnie to będzie obchodzić albo zwyciężymy.

Minuty płynęły w ciężkiej ciszy. Aubrey siedzący w fotelu, z kurczowo zaciśniętymi dłońmi na oparciach, gwizdał fałszując strzępki jakichś melodii.

— Generale — krzyknął nagle jeden z oficerów. — Meldunek od komandora Levitzky'ego.

— Wizja!

Przez jeden z ekranów przebiegły kolorowe zygzaki. Wreszcie wypłynęła ciągle niknąca blada twarz dowódcy pierwszej eskadry.

— Levitzky. Generale, cofamy się na pełnym ciągu. Stan cztery torpedy. Nie zdążyliśmy przed połączeniem flot. Generale, to już koniec. Dochodzą nas!

Twarcz komandora zniknęła jak zdmuchnięta i ekran ściemniał.

Aubrey uderzył pięścią w otwartą dłoń.

\* \* \*

— Nadprzestrzeń! — krzyknął Aubrey.



— Generale, ale rozkaz...

— Nadprzestrzeń!

Charakterystyczny szum, lekki zawrót głowy, ciemność przed oczyma i ostatnia myśl szamocząca się pod czaszką: gdzie trafimy? Prawdopodobieństwo zderzenia się statku z którąś z planet lub wejściem w strefę gwiazdy było minimalne, ale nigdy nie wiadomo czy punkt docelowy będzie oddalony o parsek, dwa czy dziesięć od punktu wyjścia.

Ciemność ustąpiła. Ekran rozjarzyły się jasnym blaskiem i wszyscy zbledli zobaczywszy pozycję statku flagowego. Znalazł się on w samym centrum floty przeciwnika.

Prawdopodobieństwo tego zdarzenia nie mogło być większe jak jeden do kilkuset trylionów i Aubrey zrozumiał, że Aklandczycy znaleźli sposób, aby pokierować jego statkiem w nadprzestrzeni.

— Sterowanie awaryjne! Automat! Pełny ciąg!

To była jedyna szansa. Przebić się przez krąg statków wroga lub chociaż doczekać chwili, gdy znowu będzie można wejść w nadprzestrzeń.

— Osiemdziesiąt trzy sekundy — zakomunikował komputer.

Trajektoria lotu statku znaczyła się na ekranach połamaną, zygzakowaną linią. Automat podejmował natychmiastowe decyzje mające na celu zdeorientowanie przeciwnika. Lot bez żadnej metody, na zasadzie Mini-maxu. Z setek możliwości przypadkowo wybierana jedna. Ale wybuchy bomb co chwila wstrząsały pancierzem statku.

Jednak nawet tak osaczony ziemski kosmolot potrafił skutecznie się bronić. Uruchomiono wszystkie działa i kilka najbliższych statków aklandzkich wybuchło zamieniając się w tysiące żeglujących wśród próżni odłamków.

— Trzydzieści dwie sekundy.

Krąg się zacieśnił.

Aubrey zrozumiał, że nie zdąży. Nagły wstrząs rzucił go na przeciwległą ścianę.

— Trafienie. Podwójne przebicie.

— Dwadzieścia pięć.

Ekran zgasł.

— Awaria. Lot bezwładny.

— Dwadzieścia dwa.

— Awaria. Wejście w nadprzestrzeń niemożliwe.

Następny wstrząs. To był już koniec. Teraz można było się tylko modlić, ale właściwie nawet na to nie starczało już czasu.

Aubrey dostrzegł w rogu sali przelewający się z miejsca na miejsce niewyraźny kształt. Następny wstrząs cisnął generałem na podłogę i w tym momencie kształt zaczął wirować. Aubrey nie mógł oderwać od niego wzroku i chwyciły go nagle zawroty głowy.

W pewnym momencie poczuł jak unosi się gdzieś wysoko w górę, a jednocześnie dojrzał skulone na podłodze własne ciało. Naraz ciało zniknęło i generała otoczyła nieprzenikniona ciemność.

## UTOPIA

Czekali na swego przewodnika w pokoju o białych ścianach, gdzie jedynym meblem była szeroka półka biegnąca wzdłuż całego pomieszczenia. Wreszcie, gdy byli odwrócony tyłem do drzwi ktoś wszedł do środka.

— Witajcie drodzy goście.

Zerwali się z miejsca i podeszli do przybysza. Był to człowiek w białej, luźnej szacie o włosach koloru złota opadających lokami na ramiona. Ale jego twarz, co zauważyli od razu, były jak ulepiona z wosku maska, sztywna i nieruchoma.

— Wybaczcie, że musieliście czekać tak długo. Ale teraz jestem już na wasze usługi — głos miarowy monotonny, bez cienia zbędnego uczucia.

Poprowadził ich długim białym korytarzem, z równomiernie rozłożonymi futrynami drzwi, aż do krętych schodzących ostrą spiralą schodów. Gdy byli już na dole otworzyły się prowadzące na zewnątrz drzwi i stanęli w świetle dnia.

Znaleźli się na skraju szerokiej promenady wzdłuż której w równych odstępach stały bloki identycznego koloru i identycznej budowy. Między nimi snuli się ludzie w białych szatach o jednakowo woskowych i nieruchomych twarzach.

— Oto Miasto Szczęścia — powiedział przewodnik. — Jedyne miejsce na całym świecie, gdzie brakuje nienawiści i głupoty, gdzie wszyscy są ludźmi, prawdziwymi ludźmi, a nie walczącymi o przetrwanie bestiami.

Gray rozejrzał się wokół.

— To miasto... — urwał na moment. — Wszystko tu jest takie samo, żaden budynek nie różni się od drugiego, to jest tak identyczne, że aż przygnębiające.

— Mylisz się drogi gościu. Równość wszystkiego i wszystkich to naczelna zasada istnienia Miasta Szczęścia. W twoim zdegenerowanym świecie ludzie różnią się między sobą, no chociażby wyglądem. Pomyśl, czy piękny nie zazdrości brzydkiemu, czy ułomny nie pragnie być zdrowy? A to prowadzi do nienawiści, zazdrości. My wyeliminowaliśmy te uczucia. Wszyscy wyglądamy tak samo, tak samo się ubieramy, mieszkamy w identycznych warunkach. Nikt nie jest lepszy ani gorszy od drugiego. Nie ma powodów, aby komukolwiek czegokolwiek zazdrościć, ponieważ mają to wszyscy.

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Olney, — ale przecież musi istnieć jakaś hierarchia, ktoś kieruje, zarządza waszym miastem. A w takim razie czy inni nie mogą pożądać jego pozycji, stanowiska?

Człowiek w białej szacie ruszył wolno przed siebie popychając lekko swych gości.

— Przejdźmy się trochę — powiedział.

— A wracając do twojego pytania — zaczął po chwili. — U nas nie istnieje żaden podział stanowisk, żadna hierarchia. Każdy robi to na co w danej chwili ma ochotę. Ja jestem waszym przewodnikiem, ale jeżeli podszedłby do nas chociażby ten człowiek — wskazał palcem na kogoś obok przystrzygającego pas murawy biegnący wzdłuż promenady, — i powiedział: ja was teraz poprowadzę, to natychmiast zamienilibyśmy się miejscami. Ja z miłą chęcią zająłbym się jego piękną pracą, a on zastąpiłby mnie.

— No tak — wyjąkał Gray. — Ale do czego to prowadzi? Przecież każdy musi mieć odpowiednie kwalifikacje. Jeden umie strzyc trawniki, drugi jest naukowcem, jeszcze inny przewodnikiem.

— Miły gościu — rzekł człowiek w białej szacie. — Cóż to byłaby za równość i sprawiedliwość, gdybyś żałował, że nie jesteś tym kim być chciałeś, że nie spełniłeś swych marzeń i pragnień? Jak czułby się naukowiec, który zapragnąłby być ogrodnikiem, lecz nie umiałby pielęgnować roślin i ginęłyby one pod jego dotykiem? Czyż mógłby czuć się szczęśliwy widząc, że jego praca nie daje pożytku społeczeństwu. Z pewnością nie i dlatego też każdy z mieszkańców naszego miasta posiada te same zdolności i kwalifikacje co inni.

Wychowujemy się w jednakowych warunkach, uczymy z pomocą hipnotyzerów i w efekcie tego każdy może pełnić jaką chce tylko funkcję w naszym społeczeństwie.

Szli w milczeniu przez długą chwilę.

— A wychowanie — zagadnął Gray. — Wspomniałeś przecież o tym. Wiadomo, że odmienne warunki kształtują ludzi w różny sposób, a jak rozwiązaliście sprawę dziedziczności pewnych cech, dziedziczności uzdolnień?

— Wybaczcie mi — powiedział przewodnik, — że nie poruszyłem sprawy tak ważnej jak ta, o którą spytałeś. Otóż my się nie rodzimy jak wy, gdyż nie rozróżniamy płci. Jest to też jedna z zasad naszej równości. Dzieci rodzą się w specjalnych laboratoriach dysponujących

szczegółowo wyselekcjonowanym materiałem. Później od dwunastego roku życia, dopóki nie osiągną pełnej dojrzałości społecznej, są wychowywane i uczone. Następnie wkraczają w całkowicie dorosłe życie.

Ta sprawa zresztą nie dawała nam spokoju przez długi czas, gdyż zachwiała naszą zasadę równości. Dzieci nie posiadają przecież takich praw jak dojrzały obywatel Miasta Szczęścia, muszą obowiązkowo pobierać nauki, a więc naruszono też zasadę wolności. Ale cóż, odłożyliśmy sprawę. Jednak prowadzimy cały czas badania mające na celu stworzenie od razu dojrzałego obywatela, który natychmiast po urodzeniu mógłby wejść w dorosłe życie.

Olney zatrzymał się objął szczękę dłońmi.

— To straszne. To wygląda jak koszmarny sen. Straszne.

— A gdzie miłość? — krzyknął nagle. — Gdzie rodzina, przyjaźń?

— My — wszyscy obywatele Miasta jesteśmy jedną kochającą się rodziną.

— Bzdura! Zaprogramowano was tak! A gdzie wolność myśli i uczuć? No, powiedz.

Powiedz, ty kreaturo!

— Olney — krzyknął Gray. — Niech się pan uspokoi!

Milczeli chwilę.

— Proszę, mów dalej — zwrócił się Gray do przewodnika. — Chciałbym wiedzieć jak rozwiązaliście kwestię śmierci, umierający może zazdrościć żyjącym, nieprawdaż? Czy to nie podważa jednej z waszych zasad?

— Jesteśmy nieśmiertelni...

— Jak to?!

— Nie wiem czy dobrze mnie zrozumiałeś, miły gościu. Każdy z nas jako jednostka kiedyś umrze, choć okres naszego życia znacznie wydłużyliśmy likwidując wszelkie choroby, ale pomyśl co mówi religia. Po śmierci człowiek wędruje do Raju. A czymże jest nasze Miasto Szczęścia jak nie Rajem? Dlatego każdy, kto umiera wraca tu z powrotem.

— Brednie! — wybuchnął Olney. — Co za kurewskie bzdury. Jak pan może tego słuchać Gray?!

Gray ścisnął go za ramię.

— Niech się pan uspokoi. Zawsze warto czegoś się dowiedzieć — rzekł cicho.

Nagle do stojących podszedł jeden z mieszkańców Miasta i zamienił kilka słów z przewodnikiem, który zaraz obrócił się w stronę przybyszów.

— Żegnajcie mili goście — powiedział i odszedł wolnym krokiem.

— Co chcielibyście jeszcze zobaczyć? — spytał nowoprzybyły. — Czy też już zdecydowaliście się zostać obywatelami Miasta Szczęścia? Jeśli tak, to pójdziemy teraz do laboratorium. Kuracja będzie trwała krótko. Już niedługo osiągniecie pełny ideał.

— Co? — ryknął Olney. — Mamy stać się tacy jak wy?

— A czyż nie było to waszym marzeniem?

Olney runął w stronę człowieka w białej szacie i uderzył go pięścią w twarz. Bezwładne ciało upadło na ziemię.

— Olney, co pan zrobił?

— Uciekajmy stąd!!

Nagle ujrzeli pod ścianą budynku przelewający się z miejsca na miejsce niewyraźny kształt. Gray przetarł mocno oczy, ale nic to nie pomogło. Kształt zaczął wirować, nie mogli oderwać od niego wzroku i chwyciły ich nagle zawroty głowy.

W pewnym momencie poczuli jak unoszą się gdzieś wysoko w górę, a jednocześnie dojrżeli stojące przy ścianie budynku własne ciała. Naraz ciała zniknęły i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

## ROZDZIAŁ III

### KREATOR

#### POZA CZASEM I PRZESTRZENIĄ

Inspektor ocknął się w mrocznym pomieszczeniu. Przetarł lekko zażawione oczy i ujrzał kilka siedzących obok postaci. Uważnie przyjrzał się mężczyźnie opierającemu się o przeciwległą ścianę.

— Aubrey? To pan kapitanie?

— Lansdale! Inspektor Lansdale! Skąd się pan tu wziął? Gdzie my w ogóle jesteśmy?

Pomieszczenie zaczął wypełniać blask padający wprost ze stropu. Mlecznobiałe światło odkryło przed ich oczyma twarze pozostałych mężczyzn.

— Kenneth! Kurwa mać, przecież on zginął!

— Jednak nie, kapitanie Aubrey. Znów się spotykamy.

Profesor Gray wstał i rozejrzał się po wnętrzu.

— Panowie, nie wiem jak wy, ale my z profesorem Olneyem przeżyliśmy dziwną wizję. Nie mam pojęcia...

— Nikt z nas nie ma chyba pojęcia — przerwał mu Aubrey. — A może się mylę?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Szatan jest wszędzie — szepnął Kansky. — To on nami kieruje.

Nagle tuż przed nimi zmaterializowała się postać mężczyzny w białym obcisłym kombinezonie.

— Witam was — powiedział przybyły. — I od razu proszę, abyście się niczemu nie dziwili. Zresztą sądząc po waszych przeżyciach nie powinniście się już niczemu dziwić.

— Kim pan jest? — spytał cicho Gray.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— To co widzicie to tylko fantom. Myślę, że przyjemniej będzie wam się rozmawiało z kimś o wyglądzie człowieka. Ja sam nie mam żadnej postaci, a w każdym razie nie taką jaką wy moglibyście dostrzec.

— W takim razie czym jesteś?

— Najprościej mnie nazwać Kreatorem. To ja stworzyłem cały otaczający was świat. Jesteście teraz w miejscu znajdującym się poza czasem i przestrzenią w waszym rozumieniu tych słów. Jednocześnie przebywacie tutaj i w tych światach, z których przybyliście. Ale tam czas — mężczyzna zawiesił głos jakby szukając słowa — stanął, tak można to w ten sposób określić: stanął.

— Czy... czy wrócimy tam?

— To zależy tylko od was.

Aubrey wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż ścian.

— To wszystko jest za bardzo skomplikowane jak dla mnie. Nic nie rozumiem.

— Nie ty jeden, zapewne — odrzekła postać. — Wplątaliście siebie samych i cały świat w bardzo niebezpieczną grę. Ale jeszcze jest czas na to, aby wszystko uporządkować.

— To znaczy? — spytał inspektor. — Wyjaśnij nam o co tu w ogóle chodzi. Wracałem z bazy, a potem znalazłem się w jakimś przerażającym świecie zmarłych ludzi. To było potworne. I teraz nagle jestem tutaj. Nadal nic nie rozumiem.

— To bardzo proste. Wysadziłeś w powietrze labirynt, prawda?

— Tak.

— I w tym momencie świat, jeden jedyny świat, podzielił się na kilka światów. Kapitan Aubrey marzył o tym, że labirynt pozwoli stworzyć ludzkości galaktyczne imperium, a on będzie dowódcą floty kosmicznej, tak też się stało. Ale chyba pointa nie była taka jaką sobie wymarzyłeś?

Aubrey skinął głową.

— Kenneth sądził, że labirynt pozwoli na kontrolę ludzkich umysłów, pragnął władzy, ale zakończenie też było smutne. Kansky spodziewał się wypełnienia Szatana i trafił do świata rządzonego przez Jego sługi, Olney i Gray stworzyli sobie wizję doskonałego społeczeństwa, ale chyba nie spełniło ono waszych marzeń?

— A ja? — spytał inspektor. — Nigdy nie pragnąłem znaleźć się wśród trupów.

— A Kathleen? Ona nie żyła, a dzięki labiryntowi chciałeś ją mieć z powrotem. Świat, do którego trafiłeś można nazwać skutkiem ubocznym twych marzeń.

— I co teraz? — spytał Gray. — Co teraz zrobimy?

— Na razie jestem wam winien wyjaśnienie dotyczące mojej roli w tym wszystkim. To prawda, że stworzyłem cały ten wielki świat, ale niektóre rzeczy jak na przykład labirynt narodziły się właściwie same, a raczej nie, to złe określenie. Istnienie ich porównywalne jest z Istnieniem na przykład paru kawałków drutu, którymi machinalnie bawiąc się połączycie kilka innych rzeczy i rzucicie gdzieś w kącie. Prawdopodobieństwo, że pojawi się coś czego działania nie będziecie mogli przewidzieć jest wręcz niewyobrażalnie znikome, ale mimo wszystko istnieje. Teraz to obróciło się przeciwko mnie i przeciwko ustalonej harmonii. Wy możecie pomóc mi i spowodować to, aby świat wrócił do dawnej postaci.

— Ale jak?!

— Nie wolno mi was do niczego zmuszać, chociaż chętnie bym to zrobił, gdyż sytuacja jaka jest teraz, zniszczyła po części i moje plany. To co się dzieje wymknęło się spod mojej kontroli, ale znam jeden sposób, aby cofnąć czas i aby znów popłynął on spokojnym nurtem.

— Co możemy zrobić?

— Mów. Nie męcz nas dłużej.

— Jeden z was musi zgodzić się na to, aby świat powracając do dawnej postaci jednocześnie zmienił jego życie. Od razu zaznaczam, że może to być zmiana zarówno na lepsze jak i na gorsze. Jeden z was musi zaryzykować swoim życiem, aby pięć światów, pięć koszmarnych i nienormalnych światów znów scaliło się w jeden.

— Jak to? — spytał Gray. — Jeden z nas może zginąć?

— Może się stać i tak.

Nastała długa chwila milczenia.

— Inspektorze — zagadnął Olney. — To pana wina. Pan wysadził labirynt. Musi pan spłacić dług zaciągnięty wobec nas wszystkich.

— To prawda — rzekł Kenneth. — Jesteśmy ofiarą pańskiego występku.

— Racja — odezwał się Aubrey. — No, inspektorze.

— Nie! — powiedział głośno Lansdale. — Wszyscy jesteście jednakowo winni.

— Masz rację — rzekł Kreator. — Gdybyś to ty był jednoznacznie winien nie rozmawiałbym tu z wami, ale od razu posłużył się tobą. Twoją winę można rozpatrywać jedynie z punktu widzenia moralnego. W końcu inspektor dał wam możliwość zrealizowania waszych marzeń, czy to jego wina, że stworzyliście tak potworne światy? Jedynie wizja kapitana Aubreya nie ma w sobie tego ładunku okrucieństwa, nienawiści lub głupoty co inne. Ale kapitan nie dorósł do tego, aby znaleźć się w stworzonym przez siebie świecie i dlatego przegrał jak i wy wszyscy. A nawiasem mówiąc, to tobie Kenneth proponowałbym nie wytykać nikomu występku.

Znów zapanowała cisza przerywana jedynie chrapliwym oddechem Kansky'ego.

— Jeżeli żaden z was nie zdecyduje się — powiedział w końcu Kreator — wróćcie do swoich światów dokładnie w tym momencie, w którym odeszliście z nich.

— Nie! — wyrwało się Kansky'emu. — Nie!  
— To straszne — powiedział Olney.  
— Zgoda — rzekł nagle Lansdale. — Zgadzam się.  
Kreator spojrział w jego stronę.  
— Zdajesz sobie sprawę z tego, że narażasz życie?  
— Wolę umrzeć niż wrócić tam, skąd mnie zabrałeś.  
Milczeli przez chwilę. Aubrey usiadł przy inspektorze.  
— Przemyślał pan to? Przykro mi, że pana namawiałem. Proszę się zastanowić.  
— Nie mam się nad czym zastanawiać — rzekł głośno Lansdale. — Zdecydowałem się.  
— Dziękuję — powiedział Kreator.

Światła zaczęły wolno przygasać, postać Kreatora rozplynęła się w ogarniającym wnętrze mroku. Inspektor poczuł nieprzepartą senność i układając się na podłodze dojrzał spod przymrużonych powiek leżące ciała swych towarzyszy. Potem wszystko rozwiało się w ciemności.

## REOUISCAT IN PACE

— No i jak inspektorze, wesoło tu co? — zagadnął pilot.

Lansdale przyjrzał się wirującym kłębowi piachu dziękując w duszy Bogu, że obserwuje ten przerażający obraz jedynie na ekranach monitorów.

— Prawie sześćset kilometrów na godzinę — rzekł pilot. — Całe szczęście, że na tej półkuli nie ma obszarów, na których występowałyby trzęsienia ziemi, a nie daj Boże wulkany.

— Ten piach wygląda jakby był pochodzenia wulkanicznego.

— Zdaje się, że paręset lat temu ta półkula przypominała południową. No, nie życzę panu takiego widoku jak tam. Kiedyś jak lądowałem tu drugi raz miałem awarię i przechodziłem tuż nad powierzchnią. Aż mnie dreszcze przeszły. Jeziora wrzącej lawy, co tam jeziora, całe morza. Stały grunt dosłownie drgający w oczach, wulkany przy których nasze ziemskie to dziecinne zabawki. Przeróżające.

— A co pan słyszał o labiryncie?

Pilot podniósł dłoń uciszając inspektora i założył słuchawki na uszy.

— Chyba już przyjeżdżają po pana — powiedział.

Milczeli chwilę.

— Tak, już są — nacisnął kilka przycisków na pulpicie. — No teraz ich głowa, żeby podpasować się do przejścia.

\* \* \*

Zdjął słuchawki z głowy.

— A labirynt — powiedział. — No cóż, słyszałem tyle co wszyscy? Widzi pan, ja zawsze tu przywoziłem ludzi, od samego początku nikt stąd nie wracał. Nie miałem żadnego kontaktu z tymi co są tu na stałe. Wiem tyle co pan, może jeszcze mniej.

Inspektor wzruszył ramionami.

— Tak. To parodia z tym labiryntem. Ciekawe jak sprawa wygląda naprawdę.

Pilot klepnął go w ramię.

— Już czas na pana. Mam nadzieję że pan wróci, będę miał informacje z pierwszej ręki.

Lansdale uśmiechnął się.

— Też mam nadzieję, że wrócę. Zresztą co pewien czas będę komunikował się z panem. Proszę trzymać się cały czas na tej samej orbicie, będzie mi łatwiej złapać kontakt. Każdy komunikat będę sygnował moim hasłem identyfikacyjnym. Gdyby przyszły inne, bez

hasła, proszę nie przekazywać ich na Ziemię.

Pilot zmarszczył lekko brwi.

— Sądzi pan, że mogliby się posunąć aż do tego?

Lansdale rozłożył ręce.

— Nie wiem. Nikt nie wie co tam się teraz dzieje. Trzeba być przygotowanym na wszystko.

— Wziął pan broń? — raczej stwierdził niż spytał pilot.

— Nie. To dziwne, ale takie miałem zalecenie.

Przerwał im wysoki, przerywany dźwięk. Pilot znów nałożył słuchawki.

— Oho. Kierowca już się niecierpliwi. Mówi, że nie może utrzymać wozu w jednym miejscu. No, nie dziwię się, taka wichura.

Inspektor wyciągnął rękę w stronę pilota.

— To do zobaczenia.

— No, mam nadzieję, że niedługo.

Wyszedł z kabiny i przeszedł korytarzem pod pierwsze grodzie. Po krótkiej wędrówce labiryntem korytarzy stanął przed ostatnią zaporą. Gdy służa podniosła się nie mógł powstrzymać się od cofnięcia się o krok i przymrużenia oczu. Podświadomie tkwiła w nim obawa, że gdy przestanie chronić go pancierz rakiety, to do środka wpadnie huragan i zmiecie ciało w zwały kłębiącego się piachu.

Ale ujrzał tylko wlot idącej ukośnie na dół rury. Kiedy służa zawarła się za nim zobaczył otwierające się przejście do wnętrza czekającego pojazdu.

Kiedy znalazł się już w kabinie penetratora odetchnął z ulgą. Stanął przed nim wysoki mężczyzna w szarozielonym mundurze.

— Zwiadowca Rowland.

— Inspektor Lansdale.

Uściskał kościstą dłoń kierowcy i opadł na fotel.

Dziwne wrażenie jakby znał już tę sytuację, jakby kiedyś wszystko odbywało się w ten sposób. I nawet twarz kierowcy wydawała się skądś znajoma.

Rowland usiadł przed ekranami i szarpnął dźwignie rozruchu. Pojazd ruszył z miejsca. Potężne podmuchy wichury uderzyły w pancierz, ale kolos nie zważając na nie sunął poprzez zwały wulkanicznego piachu. Gąsienice wyrzucały tumany pyłu tak, że inspektor na ekranach widział tylko brunatny wirujący kłęb. Rowland włączył kamery podczerwienne i jeden z ekranów rozjaśnił się.

— Nigdy nie dalibyśmy sobie rady bez podczerwieni — powiedział. — Widoczność ograniczona jest do najwyżej dwóch metrów.

— Daleko jeszcze do bazy?

— Prawie sześćdziesiąt kilometrów. Ale jak ugrzęźniemy gdzieś, albo trafimy na dziurę to... — nie dokończył i machnął ręką.

Inspektor spojrział na ekran.

— Dziura? Droga prosta jak stół.

Rowland roześmiał się.

— Toteż nie chodzi mi o żaden wykrot. Dziura to po prostu dziura. Zresztą wszystko wytłumaczają panu na miejscu.

— W porządku.

Milczeli przez chwilę.

— A jak idą prace?

— Jak mają iść? Spróbowałby pan coś zrobić na tej cholernej planecie. Ciągłe jakieś niespodzianki, poza tym klimat podły. Wie pan, że gdyby nie ochraniacze pod pancierzem obaj ogłuchlibyśmy już od huków?

— Jak daleko doszliście?

Zadał to pytanie i z góry wiedział jaka będzie odpowiedź. Znów to niesamowite uczucie jakby przeżył już podobną sytuację. Gdzieś na granicy świadomości zaczął się zbierać strach. Strach przed tym co nadejdzie.

Pojazd zahamował nagle i stanął w miejscu.

— Cholera jasna. Mówiłem dziura to dziura. No i masz pan jak na życzenie. Jeszcze trochę, a wpasowalibyśmy się w sam środeczek.

Inspektor przyskoczył do ekranów.

— Gdzie?

— Tutaj to pan nic nie zobaczy. Lepiej tu.

Wskazał dłonią na mały boczny ekran, przez który, jak inspektor wcześniej zauważył, przebiegała cały czas linia prosta. Teraz jednak pośrodku ekranu linia rosła w spiczasty pulsujący wierzchołek. Kierowca dotknął palcem dużego ekranu.

— To jest mniej więcej tu — powiedział. — Ale musimy się cofnąć. Nie można ryzykować.

Inspektor nagle chwycił go za ramię.

— Zaraz — powiedział. Jakaś myśl pojawiła się nagle w jego głowie. Rodzaj olśnienia. Dokładne przekonanie o tym co należy zrobić.

— O co chodzi? — spytał ze zdziwieniem kierowca.

Odwrócił głowę, a inspektor trzasnął go z całej siły łokciem w twarz. Rowland jęknął i opadł na pulpit brudząc jasny plastik plamami krwi. Lansdale chwycił go pod ramiona i zrzucił z fotela.

Usiadł szybko na miejscu kierowcy i penetrator ruszył naprzód. Starał się skierować pojazd wprost w miejsce, którego tak się bał Rowland.

Kierowca zdążył się unieść, ale było już za późno. Nagły wstrząs wyrwał inspektora z fotela i rzucił na przeciwległą ścianę. Nim jednak dosięgnęła go ciemność zdawało mu się, że ujrzał przed sobą postać ubraną w biały obcisły kombinezon i głośno wypowiedziane słowa.

— Dziękuję.

Ale być może był to już tylko przedśmiertny zwid.

KONIEC

## SPIS TREŚCI

Rozdział I	LABIRYNT	
	Labirynt	02
Rozdział II	OBCE ŚWIATY	
	1. Kraina Cieni	26
	2. Kontrola mózgów	33
	3. Dzień gniewu	35
	4. Imperium	38
	5. Utopia	41
Rozdział III	KREATOR	
	1. Poza czasem i przestrzenią	44
	2. Reguiscat in pace	46